

PODGLĄD

Kwartalnik literacki Oddziału Warszawskiego
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

ISSN 2392-2753

Rok I • Nr 3

2015

J. Andrzejczak
J. Binkowski
K. Boruń-Jagodzińska
W. Chmielewski
D. Cirić-
-Straszyńska
R. Częstochowski
S. Gibaszek
G. Gortat
J.P. Grabowski
M. Hemar
M. Jagiełło
A.T. Kijowski
J. Krasieński
G. Łatuszyński
J. Marciniak
P. Müldner-Nieckowski

J. Nagrabiecki
W. Oramus
M. Parowski
A. Patey-Grabowska
M.K. Piekarska
A. Pieńkowski
B. Rosiek
K. Rudziński
ks. J. Sochoń
A. Stabro
M. Strękowska-
-Zaremba
A. Syska
J. Śleszyński
Z. Taranienko
P. Wojciechowski
Z. Zbikowski



Janusz Krasieński



Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział Warszawa

<http://sppwarszawa.pl>

**POD
GLĄD**

Kwartalnik literacki

ISSN 2392-2753

Rok I Nr 3 2015

Adres Redakcji

<http://podglad.com.pl>

e-mail: redakcja@podglad.com.pl

00-079 Warszawa

ul. Krakowskie Przedmieście 87/89

tel. +48 22 826 31 78, +48 22 826 05 89

Konto: 06 1020 1156 0000 7602 0058 1520

Redaktor naczelna

Małgorzata Karolina Piekarska

Prezes OW SPP

Zastępca redaktora naczelnego

Piotr Müldner-Nieckowski

(*poezja, dramat*)

Sekretarz redakcji

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Kolegium

Grzegorz Łatuszyński (*esej, krytyka*)

Maciej Parowski (*proza, esej*)

Małgorzata Strękowska-Zaremba (*proza*)

Wydawca

Zarząd Oddziału Warszawskiego

Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

Korekta Małgorzata Strękowska-Zaremba

Skład Piotr Müldner-Nieckowski

Druk Mazowieckie Centrum Poligrafii

05-270 Marki, ul. Duża 1, www.c-p.com.pl

Z ŻYCIA OW SPP

Małgorzata Karolina Piekarska

Do trzech razy sztuka 3

Wojciech Chmielewski

Pisarz spod Góry Stołowej

(Wojciech Albiński) 4

Zbigniew Zbikowski

Limeryk jajeczny 6

Michał Jagiełło

Marian Hemar – z rękopisu. 7

Marian Hemar

Piosenka 8

Piotr Müldner-Nieckowski

Jan Nagrabiecki, w 5. rocznicę

śmierci 10

Jan Nagrabiecki

Odkrywanie świata 11

Andrzej Tadeusz Kijowski

Funeralia: Wezwanie na kolegium

miesięcznika literackiego

(Mieczysławie Buczkównie), Nie

być (Hannie Baltyn) 12

DRAMAT

Małgorzata Karolina Piekarska

Biblioteka 14

FELIETON

Piotr Wojciechowski

Złamane, ale skrzy się 23

POEZJA

Janusz Andrzejczak

A w brzezynie..., Cud,

Jak motyl 26

Jerzy Binkowski

Litania do Najświętszej Maryi

Panny 28

Ryszard Częstochowski	
Przepływamy, Człowiek,	
Bóg w nas	30
Sylvia Gibaszek	
Wąwóz Lichteinstein, ***,	
Manifest antyfeministyczny . . .	32
Jan P. Grabowski	
Wielkie piękno.	34
Antoni Pieńkowski	
Krzyk, Głaz.	36
Barbara Rosiek	
Przechwalki, ***, ***,	
Rafał Wojaczek	38
Krzysztof Rudziński	
Dalej niż jedna miłość,	
Są ze mną.	40
Jerzy Śleszyński	
Dobosz, Rozmowy	42
Agnieszka Syska	
bezmiar tak	44
Piotr Wojciechowski	
Tam, w listopadzie	46
Zbigniew Zbikowski	
vocatio	47

PROZA

Grzegorz Gortat	
Mur	49
Janusz Krasiński	
Wizyta w Pradze	55
Jerzy Marciniak	
Wieczór w parku.	61
Piotr Müldner-Nieckowski	
Jak Mietkowi nic się nie stało . .	67
Wiesława Oramus	
Spokój	71
Maciej Parowski	
Rozmowa 2014	74

Krzysztof Rudziński	
Rzecz prosta	78
ks. Jan Sochoń	
Rana miłości	80
Agnieszka Stabro	
Oto jestem, Panie Rodin.	87
Małgorzata Strękowska-Zaremba	
Dom nie z tej ziemi.	92
Zbigniew Taranienko	
Przed Umarłą klasą i po niej,	
Spotkanie z Tadeuszem Kantorem	
w jego pracowni w Krakowie . .	96

KRYTYKA

Grzegorz Łatuszyński	
Poezja z trzewi wyciskana. . . .	101

PRZEKŁADY

Grzegorz Łatuszyński	
Adam Pusłojć	106
Grzegorz Łatuszyński	
Miro Petrović	107
Danuta Cirlić-Straszyńska	
Marina Trumić	109
Katarzyna Boruń-Jagodzińska	
Patrick Galvin	112
Alicja Patey-Grabowska	
Jean Paul Mestas	116
Agnieszka Syska	
Parafrazy z Momčila	
Nastasijevicia.	118
Na pierwszej stronie okładki w kolażu	
wykorzystano obraz <i>Agnieszki Syskiej</i> .	
Rysunki w numerze: <i>Piotr Wojciechowski,</i>	
<i>Piotr Müldner-Nieckowski</i> .	
Sprostowanie. Autorem obrazu wyko-	
rzystanego na okładce poprzedniego nru	
„Podglądu” jest <i>Krzysztof Boruń</i> . Przepra-	
szamy za błędną informację. (red.)	

Do trzech razy sztuka

Jest takie powiedzenie: „do trzech razy sztuka”. Oto nasz trzeci raz. Trzeci numer kwartalnika „Podgląd”. Docieramy się, sprawdzamy i... prezentujemy. Mam ogromną nadzieję, że nie zawiedliśmy czytelników, a także, że autorzy będą zadowoleni z tego, jak ich prace zostały przedstawione. Numer jak zwykle jest różnorodny. Nie brak tekstów poważnych, ale są i luźniejsze. Jest i poezja, i felieton, i proza, i kilka innych gatunków literackich. Są też nowi autorzy, którzy wcześniej w „Podglądzie” nie publikowali. Cieszy obecność fragmentów książki naszego nieżyjącego już prezesa Janusza Krasińskiego, którego życiorys, postawa i talent zawsze mnie poruszały.

Trójka, która patronuje temu numerowi, to dobra liczba. Symbolizuje Boga, świętość, tróję, sacrum, harmonię, siłę, Słońce, owocowanie, wzrost, rozwój, medytację, a także szczęście i świadomość. W różnych kulturach tę liczbę uważa się za symbol nieba albo Boga w opozycji do ziemskiego świata. Dla pitagorejczyków była liczbą doskonałą, bo oznaczała początek, środek i koniec. Gdy chodziłam do szkoły, trójka gwarantowała zaliczenie i promocję, a co za tym idzie święty spokój. Dawała też nadzieję, że po niej nadejdzie czwórka, a może nawet piątka? Ja też liczę na to, że nie jest to ostatnie spotkanie „Podglądu” z czytelnikiem.

Małgorzata Karolina Piekarska

Pisarz spod Góry Stołowej

O Wojciechu Albińskim (1935-2015)

„Wojtek mieszkał za torami w Nowych Włochach. Chodziliśmy do siedmioklasowej szkoły podstawowej [...] Był chłopcem powściągliwym, dobrze wychowanym. [...] Żywioł codzienności, który nas otaczał, interesował go znacznie mniej od książek. Unikał drastyczności, wulgarnych słów i nie bratał się z węglarzami. Zażyłość nasza zaczęła wygasać po ukończeniu szkoły podstawowej. Zostałem zapisany do tutejszego gimnazjum na ulicy Promienistej. Natomiast Wojtek podjął naukę w gimnazjum im. Wojciecha Górskiego w Warszawie” – pisał Marek Nowakowski we wstępie do zbioru opowiadań Wojciecha Albińskiego *Kalabari*. Autor zmarł 6 lipca 2015 roku.

Kalabari ukazała się w 2003 roku i był to zaskakujący debiut prozatorski 68-letniego wówczas twórcy. Wcześniej Albiński pisał wiersze, których kilka zamieściła paryska „Kultura”. Dostaliśmy opowiadania wypełnione fascynującymi losami Afrykańczyków: czarnych, białych, żółtych, strony wypełnione obrazami przyrody, zapachami i nocnymi dźwiękami Czarne-go Łądu. Jego druga książka *Królestwo potrzebuje kata* wcale nie była gorsza. Tom kończyło opowiadanie *Komisja*, w którym Albiński przedstawił afrykańską wersję dekomunizacji – wszyscy zanurzeni w dawny system mają stawić się przed komisją i w sposób jawny, w obecności rodzin swych ofiar, przyznać do win. Wtedy nic im się nie stanie. W polskich realiach sytuacja nie do pomyślenia, co jest świadectwem, że nasz okres zniewolenia zamknęliśmy dużo gorzej niż w RPA. O tym właśnie opowiedział nam Wojciech Albiński. W książce *Achtung! Banditen* wspominał jeszcze włoskie dzieciństwo czasów wojny. Zbiorów z afrykańskimi opowiadaniem i ukazało się jeszcze kilka.

Wojciech Albiński urodził się w 1935 roku. Absolwent Wydziału Geodezji Politechniki Warszawskiej, współtworzył miesięcznik literacki „Współczesność” i drukował tam felietony, opowiadania oraz wiersze.

Z Polski wyemigrował w 1963 roku. Przez Paryż i Szwajcarię dostał się do Botswany, by rozpocząć tu pracę jako geodeta. Potem przeniósł się do RPA. Do Polski po raz pierwszy przyjechał 27 lat później. W Afryce przypatrywał się ludziom, opowiadania zaczął pisać, bo jak przyznał, „nie mógł wszystkiego zapamiętać”.

Pamiętam go jako powściągliwego i skromnego. Często się uśmiechał, rzeczowo odpowiadał na pytania. Aż nie chciało się wierzyć, że człowiek, który tak dobrze poznał Afrykę, pisał o swoich najgłębszych doświadczeniach na Czarnym Lądzie, tym zupełnie wyjątkowym tygłu brutalności i czułości, wielkości i poniżenia, potrafi tak spokojnie o tym mówić. Zaskakiwał klasą, był facetem, który ze swojej niezależności i ciężkiej pracy potrafił stworzyć literaturę. I ona zostanie z nami na długo.

Wojciech Chmielewski

Zbigniew Zbikowski

Limeryk jajeczny *

Pewien profesor, rzecz biorąc *ab ovo*,
odwieczny spór zamknął, dowodząc naukowo,
że bez wątpienia przed jajkiem jest kura
...i kogut. Bo taka „tych rzeczy” natura.
Ktoś na to krzyknął: A co z *in vitro*?
I spór rozgorzał na nowo.

* W poprzednim numerze zdaliśmy sprawę z wielkanocnego posiedzenia, na którym koledzy z Oddziału Warszawskiego SPP serwowali swoje smakowite jajeczne wiersze. Był wśród nich kol. Z. Zbikowski, ale przez przeoczenie jego świetny utwór pominęliśmy. Teraz naprawiamy ten błąd (red.)

Michał Jagiełło

Marian Hemar – z rękopisu

Aktor i śpiewak Władysław Roman (1868-1905) występował w Warszawie, Łodzi, Krakowie (1894-1899) i Lwowie (1899-1905)¹. Warto zauważyć, że jego babką ze strony matki, Aleksandry z Lipińskich, była Karolina Longchams de Berier – siostra Eleonory, matki Wincentego Pola. Władysław jako trzydziestolatek poślubił Michalinę z Florczaków (1879-1964); ich córką była Janina Romanówna (1904-1991), znana i szanowana aktorka², a synem Mieczysław Roman (1900-1969), którego do chrztu trzymali Gabriela Zapolska i Ludwik Solski. Mieczysław przez dziesięciolecia mieszkał w Zakopanem w willi „Roztoka”, a z kolei jego synem jest Romuald Antoni Roman, dla wielu zakopiańczyków starszej daty – sympatyczny Aldek, przez jakiś czas pracownik TPN, przewodnik tatrzański i ratownik ochotnik Grupy Tatrzańskiej GOPR, od połowy lat 80. mieszkający z rodziną w USA. Autor interesujących prozatorskich książek: *Przystanek Idabo* (2000), *Kierunek Filadelfia* (2005), *Ośrodek Zero. Tajemnica Doliny Syrokiej Wody* (2014) oraz najnowszego tomu opowiadań *Zakopiański dom wariatów* (Wydawnictwo Annapurna, Warszawa 2015).

I właśnie tenże „Aldek z Tatr” w swej niezmierzonej łaskawości przysłał mi ostatnio z Filadelfii rękopis sygnowany M.H. z objaśnieniem, że jego Ciocia Janina Romanówna przyjaźniła się z Marianem Hemarem (1901-1972). Urodzony we Lwowie poeta od 1942 r. osiadł w Londynie i któregoś dnia obdarował Janinę, też Lwowiankę, takim oto wierszem. Za wiedzą i zgodą Romualda A. Romana, puszczam tę *Piosenkę* na gościnne łamy „Podglądu”.

Michał Jagiełło

¹ Por. F. Pajęczkowski, *Władysław Roman*, Warszawa 1962; J. Michalik, *Roman Władysław Justyn*, w: *Polski Słownik Biograficzny*, t. 31, Wrocław 1988-1989; *Roman Władysław*, w: *Wielka encyklopedia PWN*, t. 23, Warszawa 2004, s. 434.

² Por. *Janina Romanówna w 85 rocznicę urodzin*, red. J. Kotuła, wydawca Teatr Polski w Warszawie, sezon 1989/1990; *Romanówna Janina*, w: *Wielka encyklopedia PWN*, t. 23, s. 436.

Marian Hemar

Piosenka

1

Nocą majową, w tych lwowskich ogrodach
Szumiało, wołało lwowskiego studenta,
Śpiewało o burzach, podróżach, przygodach –
Na świecie dalekim, gdzie droga wytknięta
Przez miasta i kraje w zieleni i w słońcu,
Przez morza i puszcze i gaje oliwne –
 Zaczęło się w lwowskim ogrodzie, a w końcu –
 Ach, jakie to dziwne –
Z wszystkich marzeń, co nienasycenie
W sercu kwitły i przędły się w głowie,
Pozostało to jedno marzenie,
Aby kiedyś umierać we Lwowie.
By się głębią rozwarły tajemną,
Gdy już wszystkie się skończą podróże –
Lwowska ziemia na dole pode mną,
Lwowskie niebo nade mną, na górze.

2

Sława z ciemności wołała go: Synu,
Czy widzisz te liście zielone w mej dłoni?
Czy widzisz jak błyszczą? To liście wawrzynu.
Przymierzaj do czoła, przymierzaj do skroni
i idź! Jeśli iść, to na szczyty, gdzie złotem
i mocą twe czoło uwienczę i chwałą –

Tak w lwowskim ogrodzie szumiało. A potem –
 Ach, jak to się stało? –
 Z wszystkich tęsknot – do świata, do złota,
 Do triumfów i wieńców na głowie –
 Pozostała ta jedna tęsknota:
 Aby kiedyś umierać we Lwowie.
 Pozostała tęsknota jedyna,
 Wszystkie inne tęsknoty zagłusza:
 Gdy ostatnia nadejdzie godzina,
 By z lwowskiego wybiła ratusza.

3

Miłość wołała nocami ciemnymi,
 Wierszami poety i piosnką słowiczą;
 Ach, nie ma poza mną rozkoszy na ziemi,
 I żadne się inne kochania nie liczą!
 Ach, niebo i piekło – w ramionach kobiety –
 Ach, niebo uniesień i piekło udręki –
 Tak w lwowskim ogrodzie śpiewało... Niestety,
 I co z tej piosenki? –
 Bajek srebrnych i snów pajęczyna
 Przed oczyma się snuła, jak w kinie.
 Co zostało z nich? Bajka jedyna,
 Która śpiewa co nocy w Londynie,
 Że się mrok jak kurtyna rozchyli
 I wtem – kopiec – i góra piaskowa
 I że śmierć szepnie cicho w tej chwili:
 Widzisz, synku? Wróciłeś do Lwowa.
 Potem rękę położy na czole.
 Potem głębią się zamknie tajemną
 Lwowska ziemia pode mną, na dole.
 Lwowskie niebo na górze, nade mną.

Piotr Müldner-Nieckowski

Jan Nagrabiecki

W piątą rocznicę śmierci

Dziewięćdziesięcioletni Jan Nagrabiecki (ur. 28.11.1920 w Białymstoku – zm. 30.01.2011 w Warszawie) dyktował mi nowy (programowy!) wiersz „Odkrywanie świata” przez telefon dnia 3 września 2010 r. od godz. 21.24. Głos miał nad podziw świeży, młody. Kiedy zanotowałem i czytałem mu tekst, wyjaśnił: „Dyktuję ci, bo już więcej nic nie napiszę, mam bezwładną prawą rękę”. Być może liczył na to, że kiedyś ten utwór ujrzy światło dzienne, ale nie wspomniał o tym ani słowem. Już następnego dnia poczuł się bardzo źle. Jego córka Anita wezwała lekarza. Chorego wielokrotnie aż do śmierci odwiedzałem na Bemowie w bloku przy ul. Księdza Jana Sitnika 3 m. 46, gdzie mieszkał w lokalu ongiś zajmowanym przez Konstantego Ildefonsa Galczyńskiego. Często wspominał zmarłą żonę Wandę Nagrabiecką (1927-1992), poetkę, malarkę i pianistkę, autorkę znajdującego się w Muzeum Literatury znanego portretu K.I. Galczyńskiego. Mówił, że „zbiera manatki i wybiera się do niej”.

Oprócz licznych wcześniejszych książek poetyckich, prozatorskich, a także wspomnień i opracowań, w latach 2000-2009 w Wydawnictwie AULA w Podkowie Leśnej wydał pod moją redakcją wysokiej klasy tomy poezji: *Zatrzymane słowa* (2000), *Requiem po karnawale, wiersze i poematy prawie zebrane*, t. 1 i 2 (2004), *Dotyk światła* (2004), *W krzywym śniecidelku* (sylwetki portretowe niektórych poetów 1952-1987; dedykacje-stylizacje-pastisze 1978-1987; zaproszenie do poetyckiej zabawy; wyd. 2004), *Magiczny kształt miłości* (2007), *Śladami wilczej łapy, epika, liryka i satyra* (nowe wiersze i dawne nigdy niepublikowane, 2009), a także opowiadania z czasu powstania warszawskiego *Oponieści prawdziwe* (2000) i esej krytycznoliteracki o K.I. Galczyńskim *Czary mary sztukmistrza Ildefonsa* (2000).

Jan Nagrabiecki

ODKRYWANIE ŚWIATA

O, rozkołysana ballado lotu,
co łopocę skrzydłami,
chwyta oddech świata
i spada lądowaniem Ziemi
wśród licznych Gwiazd Nieba,

spójrz jedną iskrą ciekawości bociana,
odkrywającego łąki rozkołysanych pól,
aby rozpościerać pęd ku szczęściu,
paradę radości szybszej od ruchu światła,
od bycia świadomego siebie!



Fot. P. Müldner-Nieckowski 2010

Jan Nagrabiecki
ODKRYWANIE ŚWIATA

O, rozkołysana ballado lotu,
co łopocę skrzydłami,
chwyta oddech świata
i spada lądowaniem Ziemi
wśród licznych Gwiazd Nieba,
spójrz jedną iskrę ciekawości bociana,
odkrywającego łąki rozkołysanych pól,
aby rozpościerać pęd ku szczęściu,
paradę radości szybszej od ruchu światła
od bycia świadomego siebie!

Jan Nagrabiecki

J. Nagrab. ur. 28.11.1920 Pieliszk, zm. 30.09.2011 H. XX

Janek Nagrabiecki
poety lekował mi ten
niemiły gmer telefonu
03.09.2010 o godz.
21²⁵ + 6 min,
dodając słowa: "Dyktuj
ci, bo ja nie mogę nic
nie napisać, bo mam
rękę".

Janek

Andrzej Tadeusz Kijowski

Funeralia

Wezwanie na kolegium miesięcznika literackiego

Mieczysławie Buczkównie, poetce (zm. 3 maja 2015) ad memoriam

Niech Pani do nich zajrzy Pani Mieczysławo!
Czekają tam na górze. Papierosy palą.
I nad literatury (którą biesi smołą
W radio i w internecie) wzdychają niedołą.

„Złota Papuga” – Artur, Jerzy u „Bram Raju”,
„Pan Cogito”, mój Dedal – „Z dalekiego kraju”,
Spisują rezolucję. Przyznając ze zgrozą,
Ze na „Ptasim Gościńcu” pod pancerną brzozą

Zaprzaiący tłumią lament. Ci z „Lotnej”, z „Boldyna”,
z „Kolumbów” – ostrzegali! I to nasza wina,
że głos jeden: narracja, jak się dzisiaj mówić
Komisu i Pewexu, kraj nasz, twórczość gubi!

Niech Pani wpadnie z mężem, pora na kolegium,
Bo tu szaleje hewra, zawęża się spectrum.
Pałac jak paradiso. Czekają skupieni
Jak na sienieńskim płótnie: wszystko w złocie, w bieli.

Wzywają do raportu! A niebo blade,
Gdy poeci jak gwiazdy spadną na Warszawę.
Alarm! Zgaszony tytoń. Wkracza pan Antoni:
Odpowiedzieć za krzywdy Ojczyzny nie swojej.

Za „zdarty płaszcz Konrada”, za „Dzieje Honoru”,
Za potomków Ozjasza, za skutki pogromu.
Za Polocaust, za kłamstwa, za przyjaciół zdradę.
Za sprzedane gazety. Kontrakty nieprawe.

Za mowę nienawiści. Za drwiny z Polaków,
 Za krzyża pohańbienie. Za mnożenie znaków.
 Niech Pani im opowie. Co znaczy depresja,
 Inaczej poniżenie, z którego wytryska

Gniew jak żywioł, tsunami. Pożar, wiatr co woła,
 Że wkrótce już kolegium nikt zwołać nie zdoła.

Nie być

Ćwiczenie z Szekspira

Hannie Baltyn – tłumaczące, (zm. 16 lipca 2014) ad memoriam

But that the dread of something after death...

Ani się boję tego co za grobem.
 Ciemność, sen wieczny też mnie nie przeraża.
 Jeśli grzeszyłem to jedynie słowem
 No i nieczęsto stałem u ołtarza.

Bólu się boję, żelaza kawalka.
 Trucizna wstrętna, sznur zwłaszcza odpycha.
 Chętnie bym skoczył z Furkapass gdzieś w Alpach.
 Spowity w chmurę płaszczka romantyka.

Ku Tobie Polsko! Bezbronna, leniwa.
 Dumna, szydercza, senna i zdradzana.
 Aby cię chronić przed bólem co bywa
 Jak wciąż uparcie otwierana rana.

Bólu się boję, śmierci barbarzyńskiej:
 Polowań, wojny, nie chcę zabijania.
 Śnią się po nocach nowe wojny krymskie.
 Niech przyjdzie: nagle, nieoczekiwana.

Małgorzata Karolina Piekarska

BIBLOTEKA

Sztuka w 5 aktach

(fragment)

OSOBY:

P – PIOTR: lat 37. Bibliotekarz. Broda. Okulary. Wygląda trochę tak, jakby był przebrany. Na piersi plakietka z imieniem „Piotr” i tytułem „bibliotekarz”.

A – ANDRZEJ: lat 65. Czytelnik.

Akt II

Scena rozjaśnia się.

Jak poprzednio. Piotr siedzi za biurkiem. Przegląda kolorowe gazety.

P – *Rozmawia przez telefon.* ...No i ona mówi, że jestem podobny... To ja tak, jak zalecał terapeuta mówię, że to nie ja, ale dodaję, że wszyscy mi to mówią. A ona się upiera, że niby tak jestem podobny, że ona się mylić nie może, bo głos nawet ten sam. (*Śmieje się.*) To nawet zabawne. Nie przyznałem się!. Tylko wiesz... to jest też trochę trudne. Ona mówi, że imię mam to samo, bo mam tę cholerną plakietkę z napisem „Piotr – Bibliotekarz”. No i co? Co mam odpowiedzieć? No mówię, że imię popularne... No na szczęście nie mam na imię Borys, Kamil czy Oliwier... (*łagodnie*). Nie wiem Basiu, czy ja dam radę. Mam całe życie spędzić w bibliotece? Powiedzieliście, że mi odbiło. Że przesadziłem. Że to będzie dobra terapia. No odbiło mi. Zgoda. No terapia. Zgoda. Ale to jest jak jakaś kara! Ja się tu nudzę! Siedzę drugi tydzień w tej w bibliotece. Mam tu zablokowane wszystkie strony internetowe poza bibliotecznymi. Poza tym, ile ta kara ma trwać? Nie określiliście ile. Nawet więzienie jest określone. Nie ma w Polsce dożywocia! Chcesz mnie skazać na dożywocie? W bibliotece? Ja tutaj oszaleję. Czytelników jak na lekarstwo. Nie ma z kim słowa zamienić! Na jakikolwiek temat! A do tego wiesz, jaka jest moja kierowniczką? Moja koleżanka (*słowo wypowiedziane z przekąsem*) z tych porzuconych studiów? Najbrzydsza na roku. (*Wzrusza się.*) Maszkara, paszet, pokraka... Jest tak szczęśliwa, że może wydawać mi polecenia... Nawet kilka razy powiedziała: „Tu nie telewizja. Tu biblioteka. Tu sobie nie poszalesz!”...

Słuchać dzwonek-gong

P – Muszę kończyć. Czytelnik. Wreszcie! Zadzwonię później. Pa!

Wchodzi Andrzej. Bez słowa kładzie książki na biurku.

P – *Z nadzieją w głosie.* Podobało się?

A – *Siada.* Wie pan co... Te kryminały, w których roi się od wyników badań DNA, logowań do sieci komórkowych... Ja tam nie wiem, co w tym jest fascynującego. Czy ja się zestarzałem? Nie wiem. Ci detektywi... Nic nie zależy od nich wszystko od techniki, badań, aparatów. Inteligencji właściwie nie używają. Zero. Tak jak w tych kryminalnych serialach amerykańskich. Wszystko się właściwie samo rozwiązuje. No i ten język... Wszyscy strasznie klną. Jak policjant nie rzuci kilkoma kurwami to już to nie będzie atrakcyjne?...

P – No wie pan... Tak teraz się mówi.

A – Ja tak nie mówię. I znam wielu ludzi, którzy tak nie mówią.

P – Nie zdarza się panu przeklinać?

A – Święty nie jestem. Jak się w palec zdzielię młotkiem to nie wrzeszczę „motyla nogą!”. Ale tutaj ta kurwa, to przecinkiem jest! Normalnie jak u co drugiego mojego pasażera.

P – Czyli przyznaje pan, że ludzie na co dzień tak mówią?

A – No, ale to nie znaczy, że w literaturze mają tak mówić!

P – Przecież literatura ma być odzwierciedleniem życia.

A – Kto tak twierdzi?

P – Panie? Pan dopiero teraz książki zaczął czytać?

A – Nie. Ale w tych, które do tej pory czytałem tak nie kłęi.

P – No dobrze zostawmy to. A ta Felusiewicz? Jak się panu podobała? Pan dość szybko przeczytał...

A – Ja w ogóle szybko czytam. Czekam na pasażera to czytam...

P – *Bardzo zniecierpliwiony, zaciekawiony.* No i?... Podobała się?

A – *Jakby z niedowierzaniem.* Ale... pan sobie teraz żartuje ze mnie?

P – Dlaczego?

A – No bo to jest dopiero dno! Jak można pisać o tym, czy się lubi (za przeproszeniem) – robić laskę czy nie?

P – *Rozczarowany.* A co pan taka ciota rewolucji? Jakby pan był beret moherowy albo co? Pan jest taksówkarzem? Pisarzem? Czy z jakiegoś kółka różańcowego? Co jest złego w robieniu laski? Nikt nigdy panu laski nie zrobił?

A – *Zrywa się z krzesła.* Wie pan co? Nie wiem, czy ja przyszedłem do biblioteki, czy gdzie... Z jakiego kółka różańcowego? Bo nie chcę czytać czyichś wspomnień o robieniu loda? Pan jest bibliotekarzem czy idiotą?

P – No, ale tak wygląda życie w wielkim świecie. Widział pan te zdjęcia...

A – Widziałem. Banda degeneratów, leni, rozpuszczonych placeniem im wielkich sum za nic.

P – Za jakie nic? Oni sprzedają swoją twarz, prywatność! To myśli pan, że za darmo? Że powinni to za darmo robić?

A – A po co to sprzedają? Ktoś im każe?

P – Ludzie marzą, by być w wielkim świecie. Otrzeć się o niego. I oni sprzedając swoją prywatność pozwalają każdemu człowiekowi zajrzeć do wielkiego świata.

A – *Przedszeźnia to, o czym mówi.* Ale ja nie chce zaglądać do wielkiego świata, który tak wygląda. Czy pan słyszy te bzdury, które pan mówi? „Wielki świat”? Zachlewanie się, rzyganie, odwyki, dawanie (za przeproszeniem) – dupy na prawo i lewo? To jest pana zdaniem „wielki świat”? Ta lampucera ze sztucznymi cycami i po liftingach jest jego symbolem?

P – Ale ludzi to interesuje...

A – *Pokazuje wszystko to, o czym mówi. Jeszcze bardziej przedszeźnia.* Co interesuje? Pan mi próbuje teraz wmówić, że wszystkich ludzi interesuje, jak jakaś kretyńka, której całą ciężką pracą jest stawianie raz prawej a raz lewej nogi, opisuje jak popada w ćpanie i alkoholizm? Jak się upadła? Wywleka na światło dzienne, że mąż zmuszał ją do seksu oralnego? Panie! Czy mnie to interesuje?! I przy tym wszystkim jest sobą zachwycona. Nawet tym swoim upadkiem, odwykiem, terapią. Ona występuje z pozycji mentora. Upadłam, a teraz powstaje i uczy się ode mnie, że można powstać. A przecież jej upadek nadal trwa. Jego dowodem jest ta książka. I ludzi to interesuje? Dlaczego?

P – No bo to jest w telewizji...

A – A bingo! A dlaczego to jest w telewizji?

P – Bo to podnosi oglądalność.

A – I koło się zamyka. Telewizja. Czy zauważył pan, że w większości stacji mamy tylko takie programy, które czynią nas, odbiorców tej papki, ludźmi ze zmniejszającym się mózgiem? Pan wie o czym przez to ludzie rozmawiają? O tańcach na lodzie, na rurze, z gwiazdami, pseudotalentach. O idiotyzmach! Ja właśnie przez to już od kilku lat rzadko oglądam telewizję.

P – A to dlatego pan...

A – Co?

P – Nie. Nic.

A – Tak więc oddałbym te... te... te... tandetne wypociny i wziął tego Graya.

P – Ale to czekało na pana wczoraj. Dziś dosłownie godzinę przed pana przyjściem wypożyczyłem.

A – *Ciężko wzdycha i znów siada.* I to naprawdę tak czytają?

P – Czytają... Miliardowy nakład, tłumaczenia na kilkaset języków obcych. A pan? Mówił pan, że pan też coś pisze. Co pan pisze?

A – No takie różne rzeczy...

P – Ale co? Chcę wiedzieć, co?

A – A przeczyta pan?

P – Przeczytam.

A – To następnym razem podrzucę.

P – A może my mamy to w zbiorach?

A – Wątpię.

P – *Mruczy, grzębie w laptopie... Patrzy na kartę biblioteczną. Sprawdza. Andrzej... S. Faktycznie. Chociaż ja o panu gdzieś słyszałem lub czytałem. Ale w bibliotece nic... Nawet w innych bibliotekach w dzielnicy... Pan coś w ogóle opublikował?*

A – *Ciężko wzdychając.* Owszem. Opublikowałem. Przyniosę.

P – A jakby ten Gray był wcześniej, to zadzwonię. Teraz nic pan nie weźmie?

A – No dobrze, wezmę. Może z rzeczy, które są mniej na topie... *Wstaje i idzie w kierunku regałów... przegląda książki. Po chwili woła od strony regatu.*

A – A dlaczego Ernesta Hemingwaya jest tylko ta jedna cienka książka?

P – Bo jeszcze jest w lekturze...

A – Nie rozumiem...

P – No nie mogliśmy wycofać ze zbiorów, bo jeszcze jest w lekturze i czasem ktoś przychodzi wypożyczyć. O inne od kilkunastu lat nikt nie spytał, więc wycofaliśmy.

A – Ale pan żartuje teraz?

P – Dlaczego? No po co trzymać książki, których nikt nie wypożycza?

A – Jak to nikt? Od kilkunastu lat nikt nie wypożyczył Ernesta Hemingwaya?!

P – Nikt.

A – Przecież to świetna proza.

P – Ale zestarzała się.

A – Co pan za bzdury opowiada. Czytałem ostatnio tę o wojnie domowej w Hiszpanii. Świetna książka.

P – Ale poza panem nikt chyba tego nie chce czytać. Naprawdę musieliśmy wycofać z księgozbioru. Trzeba było zrobić miejsce dla tych książek, o które ludzie pytają. O Ernesta Hemingwaya nie pytali.

A – Może nie reklamowaliście.

P – A to my od reklamowania jesteście czy od wypożyczania?

A – Za życia był uwielbiany jak dzisiejsi celebryci! Ale uwielbiany za to jak pisał i co pisał! Gdybyście tym, którzy czytają wypociny tej Felusiewicz, powiedzieli o Erneście, że to był alkoholik, babiarnik i facet, który popełnił samobójstwo strzelając sobie w usta z dubeltówki, naciągając cyngiel nogą, to może by chcieli czytać. Jakbyście dodali, że miał cztery żony... Bo to chyba tak trzeba im mówić.

P – Im. Pan ciągle: „im”. Gada pan jak moja żona. A pan od nich lepszy? Też pan to przeczytał. Nie odłożył po dziesięciu stronach. Przeczytał pan do końca. I zdjęcia obejrzał.

A – Zdjęcia przeleciałem, bo niewiele mnie obchodzi, jak wyglądają krety, z którymi chlęła, ćpała i puszczała się ta dama. (*Ostatnie słowo wypowiada z przerwaniem*) Poza tym to nie było źle napisane. Ten jej autor widmo spisał się na medal. Tylko ta treść i żenująca biografia tej pani. Ernest Hemingway to co innego. Tak w ogóle, to wie pan, czemu popełnił samobójstwo? (*Czeka na reakcję Piotra. Ten odpowiada dopiero po chwili zastanowienia.*)

P – Nie.

A – Są dwie teorie. Jedna mówi, że chciał sam decydować o swoim losie i sam wybrać moment, kiedy pożegna się z życiem. Druga, że osiągnął wszystko, co mógł. Był przecież bogaty, sławny i podobno szczęśliwy. Uważał więc, że teraz czeka go już tylko nieszczęście i po prostu chciał tego uniknąć. Jego zdaniem życie to gra, którą uznał, że wygrał i w odpowiednim momencie zakończył. Myśli pan, że ta Felusiewicz wie czym jest życie? Że upadła się z któregoś z tych dwóch powodów, dla których prawdopodobnie Ernest Hemingway, się zabił?

P – Uczepił się pan tej Felusiewicz, jak rzep.

A – Pańska wina lub zasługa. Pan mi ją wcisnął do czytania. Nieważne. Wie pan co... ja tu widzę coś, co dawno temu czytałem i bym sobie przypomniał... *Bierze jedną książkę z regału i podchodzi do biurka.*

P – *Wymyje z książek karty biblioteczne i obojętnie, nie patrząc nawet na okładkę mówi.* No to ma pan na cztery tygodnie.

A – Raczej szybciej przyjdę, bo przecież po tego Graya.

P – No tak...

A – *Zabiera książki. Wychodzi.* Do zobaczenia.

P – Do zobaczenia.

Słychać dzwonek-gong.

P – *Piotr wybiera numer na komórce. Słychać sygnał zajętości. Wybiera ponownie. Wreszcie dodzwania się. Zrezygnowany mówi do słuchawki.* Chciałaś bym zadzwonił... A sama gadasz... No... tak sobie. Nie wyrabiam. Normalnie... nie wyrabiam... Duszę się... Nudzę... Czytelnicy rzadko przychodzą. Dziś był jeden taki... Poglądy ma, jak ty. Jakbyście byli w znowie. Trzeci tydzień, a mnie się wydaje, że trzeci miesiąc. Ja naprawdę oszaleję... Pracuję nad sobą. Poddałem się twoim żądaniom. Zero portali społecznościowych, zero aktywności w internecie. Zniknąłem. Tak jak mówił terapeuta... Tak jak ty chciałaś... Ale chciałbym kiedyś jeszcze wrócić do świata... Chciałbym jeszcze coś zrobić w swoim zawodzie. Basia... nie odpuścisz mi?

Słychać dzwonek-gong.

W drzewiach znów staje Andrzej.

P – *Piotr mówi do słuchawki:* Poczekaj chwilę. *Przykrywa dłonią słuchawkę.* Tak? Zapomniał pan czegoś?

A – Przepraszam, że jeszcze głowę zawracam, ale czy mogę skorzystać z toalety?

P – Tak oczywiście. Tam między regalami pan pójdzie... Tylko proszę uważać, nie wyrwać się, bo tam książki leżą...

P – *Piotr do telefonu.* Baśka. To nie jest dla mnie proste. Miałem pracować z Wojtkiem. Zrezygnowałem... Wszystko dla ciebie... Uczę się, że świat nie kręci się wokół mnie.

Andrzej wychodzi z kilkoma książkami w rękę. Koszula nie do końca wpuszczona w spodnie, pasek od spodni nie do końca zapięty.

A – Czemu one tam leżą?

P – Bo są w trakcie wycofywania z księgozbioru.

A – Ale dlaczego? Przecież ja je zawsze chciałem przeczytać!

P – *Do słuchawki:* Oddzwonię. *Rozłącza się, odkłada komórkę i do Andrzeja:* Biblioteka nie jest z gumy. Co jakiś czas trzeba przejrzeć księgozbiór i wycofać niektóre książki.

A – Ale czemu akurat te?

P – Bo nikt ich od dawna nie wypożyczył. Proste. Tak jak z Ernestem Hemingwayem, Poza tym akurat tej, którą pan ma w rękę, mamy nowe wydanie. Ładniejsza okładka. Nie taka porwana. To popularna książka (*powoli odczytuje tytuł trochę burkotliwie i nienyraźnie*) Romain Rolland (*czytaj: Rome rolan*) „Colas Breugnon”. Stara, ale jednak cały czas czytana... Tyle, że teraz młodzież, jak czyta książki, to chce mieć ładne okładki.

A – No dobrze. Ta stara okładka. Ok. Rozumiem. Kupiliście nowe wydanie. Ale ta? Ta nie jest porwana. I wygląda na nigdy nie czytana...

P – No i dlatego jest wycofywana.

A – No ale to nielogiczne. Stara niedobra. Nieczytana też niedobra?

P – Ma pan w środku książki kartę... Kiedy ją ktoś wypożyczył?

A – *Otwiera książkę, wyjmuje kartę i patrzy na nią przez chwilę. Liczy na palcach...* Lion Feuchtwanger (*tytuł też czyta nienyraźnie. W ogóle wszystkie tytuły książek są przez nich czytane nienyraźnie*) „Żydówka z Toledo”. Czy pan wie, że gdy byłem w liceum to był to hit? Wszyscy to czytali. W ogóle zaczytywali się tym facetem. Ja ciągle nie mogłem się do tego dorwać. A teraz po latach... to leży na podłodze. (*Wraca do czytania karty bibliotecznej.*) Wprowadzona do księgozbioru... dwadzieścia lat temu... ostatni raz wypożyczona dwanaście... miała jednego czytelnika.

P – Sam pan widzi. Po co to trzymać? Trzeba zrobić miejsce dla nowych. Gdybyśmy w miejsce tych ramot kupili kilka Felusiewicz, czy kilka Graya, to pan nie musiałby tyle razy tu przychodzić, bo od razu by pan wypożyczył.

A – Ale ona jest zła? Nieciekawa? Czemu jej ktoś nie wypożyczył?

P – Mnie się pan pyta? A skąd ja mam to wiedzieć? Ja tego nie czytałem. Tytuł nie zachęca. „Żydówka z Toledo”. Diabli wiedzą o czym. Napisane „romans średniowieczny”. To nie dla mnie. Poza tym ja tu dopiero od kilku miesięcy jestem...

A – *Sztucznie zainteresowany*. A co pan wcześniej robił?

P – *Milczy. Walczy ze sobą. Powiedzieć prawdę, czy nie? Andrzej patrzy na niego.* Coś innego.

A – *Z kpiną*. Tajne?

P – Tak jakby.

A – No dobra, czyli co ludzie najczęściej wypożyczają?

P – No teraz tę Felusiewicz. Pan miał szczęście, że się pan wstrzelil i pan to przeczytał. Bo po to kolejka jest.

A – Jakie szczęście! Niech mi pan tej Felusiewicz nawet nie przypomina! Nawet sama nie napisała tych swoich pożałuj Boże wspomnień.

P – No, ale Ignacy Jan Paderewski też sam swoich wspomnień nie napisał.

A – Niech mi pan nie porównuje tego dna z pamiętnikami Paderewskiego. On to miał życiorys! Kompozytor, premier, pianista! Zasługi. On miał o czym opowiadać. A nie: *(pokazuje rękami, przedrzeźnia)* Kochanek taki, kochanek sra-ki, laska, rzygi, odwyk. Ble! Panie! To ma być literatura? Życiorys godny unieśmiertelnienia? Ludzie tego chcą? Czytają, bo im się to wciska!

P – *(obrażony)* Ten temat zdaje się już przerobiliśmy. A co do Ignacego Jana Paderewskiego, to mam dla pana złą wiadomość *(Piotr grzebie w komputerze...)* jego „Pamiętniki” już z naszej biblioteki zostały wycofane. Od wielu, wielu lat nikt do tego nie zaglądał, więc...

A – Normalnie szok!

P – *Wzruszając ramionami*. Roman Polański powiedział kiedyś, że nic nie jest dla niego zbyt szokującego.

A – Ja nie jestem Roman Polański, ale... a propos... a jego autobiografia „Roman”? Też wycofana?

P – „Autobiografia” Romana Polańskiego? Nieee... Cały czas ludzie chcą czytać, bo przecież temat jego seksu z nieletnią wraca w mediach jak bumerang.

A – I myśli pan, że to dlatego? Że to ich interesuje?

P – Wie pan... *(rozhaniony)* sądząc po tym, w jakim stanie jest książka i co w niej popodkreślano...

A – Czytał pan?

P – Oczywiście. Jestem bibliotekarzem.

A – *do siebie, bardzo złośliwie*. Ciekawe, że jako bibliotekarz nie czyta pan całej masy innych naprawdę ciekawych rzeczy, które tu leżą na podłodze koło kibla.

P – Przepraszam, nie dosłyszałem... Co pan powiedział?

A – A nic... do siebie mówię. Wie pan co... Pan mi wypożyczy jeszcze tę książkę. Tę której nikt od dwunastu lat nie czytał. Tę o Żydówce. W końcu kiedyś marzyłem, by to przeczytać.

P – Nie mogę.

A – *Patrzy zdumiony. Odzywa się dopiero po chwili*. A to dlaczego?

P – No bo jest już wycofywana. Ona jest usunięta już katalogu... Jeszcze tylko fizycznie się tu znajduje. Ale sam pan widział gdzie.

A – No widziałem. Na podłodze kibla! Na jednym ze stosów setek innych książek, które trafiły na podłogę kibla!

P – No jak nikt ich nie chce czytać...

A – *Wściekły*. No, ale ja chcę! Chcę przeczytać tę książkę! Tę konkretną! O Żydówce!

P – Tłumaczę panu, że może pan sobie brać książki z regałów. Tamte co leżą, jak pan to powiedział „w kiblu na podłodze” są wycofywane.

A – *Gorączkuje się*. No, ale to jakiś obłęd jest! Jest książka. Jest czytelnik, który ją chce. Jest biblioteka. I biblioteka nie może mi wypożyczyć tej książki? Tylko dlatego, że ta książka leży na podłodze kibla? No w mordę żesz! To pan ją wprowadzi z powrotem do katalogu!

P – Nie mogę. Wprowadzając do zbiorów trzeba podać źródło. Czy to jest darowizna? Jeśli tak to darowujący musi podpisać oświadczenie, że darowuje. Jeśli to jest zakup, to musi być faktura. A na tę książkę...

A – *Z kpinką*. Rozumiem. Pan dalej nie kończy. Książki z kibla pan nie kupił i kibel nie może być ofiarodawcą. Ale to ja nim będę. Proszę. (*Kładzie książkę na blacie biurka*) To jest książka z podłogi bibliotecznego kibla. Ja panu dam tę książkę z kibla, napiszę zaraz oświadczenie o darowiznie i pan mi ją wypożyczy.

P – Ale po pierwsze, gdy pan mi da coś jako darowiznę, to ja nie mogę tego od razu wypożyczyć, bo to musi zostać wprowadzone do księgozbioru, musi mieć kod kreskowy i tak dalej. A tej w ogóle nie może pan mi dać, bo ona nie jest pana. Ona cały czas należy do biblioteki. Choć owszem, przynajmniej leży w kiblu...

A – Ja zwariuję. Czy tu jest poza panem ktoś, z kim ja bym mógł słowo zamienić? Jakiś kierownik? Jakiś pana szef? By mi ten cholerny romans średniowieczny o „Żydówce”, który leży nomen omen na podłodze kibla z brązowymi zaciekami (*dobitnie podkreśla ostatnie dwa słowa*) wypożyczył do domu?

P – *Polubownie. Jakby dla świętego spokoju*. Wie pan co... to może się umówmy, że pan ją na chwilę ukradnie, przeczyta i potem pan ją podrzuci z powrotem na podłogę do kibla dobrze? Ja udam, że tego wszystkiego nie widziałem.

A – Dziękuję. Do zobaczenia.

*Andrzej wychodzi z książką w ręku.
Słychać dzwonek-gong.*

P – *Telefonuje. Znów zajęte. Wreszcie dodzwania się.* Baśka... czy ty kojarzysz takiego pisarza... Lion Feuchtwanger?... Tak. Tego. Tak. No bo tu był ten czytelnik i... No nie mam gdzie sprawdzić. Przecież wszystkie inne strony poza centralnym katalogiem są zablokowane. Jesteś przy komputerze... Znajdź gdzieś w sieci życiorys i przeczytaj... Aha. *(Pontarza zasłyszane.)* Przełożony na czterdzieści języków,... kilkadziesiąt powieści z czego sporo historycznych,... kilkanaście sztuk teatralnych,... przyjaciel Bertolda Brechta... No... tak mnie zainteresowało... Jak u mnie? Wyciszam się. Gadam z czytelnikami. Teraz znów był ten jeden,... mówiłem ci... No... przychodzi tu... no nawet ciekawe spostrzeżenia... Chociaż z żadnym się nie zgadzam. Czyli mówisz, że ten Lion Feuchtwanger był bardzo znany... Ok. nie przeszkadzam. Pa. *Odkłada słuchawkę. Zamyśla się. Do siebie.* Kiedyś znany. A dziś. Nieznany. No i co?

Podkreca głośniejsze radio. Pomędzy trzaskami słychać.

RADIO: *Jak zwykle nienyraźnie i z trzaskami. Wszystkie imiona i inicjały czytanie nienyraźnie...*

Premier Ukrainy spotkał się... Kanclerz Niemiec zamierza... Bartosz Z., lat trzydzieści dwa, nominowany do najważniejszej polskiej nagrody filmowej złote... za główną rolę w filmie... Dziennikarze już dziś zastanawiają się, z kim pojawi się na gali. Mateusz D., lat dwadzieścia dziewięć, znany z roli... w filmie... przyłapany na randce w parku. Kto jest nową wybranką? Na razie nie wiadomo. Po rozczarowaniach poprzednimi związkami aktor bardzo chroni swoją prywatność. Co dzieje się z Piotrem Z.? Trzydziestosiedmioletni aktor przestał pokazywać się na salonach. Od blisko miesiąca nie ma z nim kontaktu. Jego komórka milczy. Rodzina twierdzi, że wycofał się z zawodu i nie zamierza do niego powrócić. Z kolei znajomi aktora twierdzą, że to może być chwyt marketingowy. Piotr Z. jest brany pod uwagę w obsadzie najnowszego filmu swojego przyjaciela...

Wyciszenie. Gaśnie światło.

Koniec aktu drugiego

Premiera 19 grudnia 2015
na Małej Scenie Teatru Rozrywki w Chorzowie

Piotr Wojciechowski

ZŁAMANE, ALE SKRZY SIĘ

W tym tekście cytuję obficie inny tekst, mój własny. Kładę ten cytat bez oporów moralnych, bo przecież niewielu ludzi dotrze do bilgorajskiego kwartalnika „Tanew”, dla którego przygotowałem obszerniejszą, inaczej ukierunkowaną wersję. Ale o dwu skrzydłach piszę i tam.

Dwa skrzydła – skrzydło jawy i skrzydło marzenia sennego. Tego doświadcza każdy, kto śni. Od samego początku wszystko, co było narracją w kulturze – miało te skrzydła. Dwa skrzydła – skrzydło jawy i faktu, skrzydło snu i pięknej opowieści.

Spytajcie ornitologa, co to skrzydło, skąd się wzięło. Odpowie, że skrzydło narodziło się z pletwy piersiowej i było od początku narzędziem lotu. Opowie o gadach latających, o zębatym ptaku-gadzie Archeopteryksie, którego odcisk tak dobrze zachował się w Bawarii, w Solnhofen, w łupkach używanych do litografii.

Spytajcie poety, co to jest skrzydło. Skrzydło to jest coś, co się skrzy, tak podpowiada język. Bydło, to coś, co bytuje, radło zaś ryje. Skoro mydło się mydli, wiejadło, jest czymś, co wiejąc odsiewa plewy od ziarna, to skrzydło się skrzy. Kiedy ptak zrywa się z gałęzi i ulatuje pod słońce, skrzą mu się skrzydła. I wtedy widly to wszystko, co się widzi. Te rozwidlenia konarów, prawda? Skrzący się ptak widoczny bywa przez rozwidlenia konarów.

Literatura więc, jakie loty, jaki błysk, jakie skrzywienie?

Skrzydło jawy i skrzydło marzenia sennego. Czy błyszczą tym samym światłem? Trzeba być uczonym znawcą piśmiennictwa, by pewną ręką nakreślić granice, aby w oddzielaniu tych dwu obszarów pomieścić gdzieś dramat i poezję, eseistykę i naukowe księgi z zakresu humanistyki. Gdzie ustawimy Homera i Szekspira? Pierwszy bajki nam opowiadał o pięknym Parysie i koniu z drewna. Bajki? Ale przecież odkopano Troję. Na jakiej wyspie lądowali rozbitkowie szekspirowskiej „Burzy”? Tej nie znajdziemy na mapach. Za to do dziś królowie rządzą tą samą Wyspą, którą zarządzili bohaterowie sztuki Szekspira o Henryku IV i Ryszardzie III. Co jednak z wątkiem czarownic rządzących losem postaci Makbeta?

Może więc wystarczy być wrażliwym czytelnikiem, aby czytając książki zdawać sobie sprawę z sensowności pytania: z kim ja teraz się zadaję – z pisarzem literatury faktu czy z pisarzem literatury pięknej?

Odpowiedzi bywają łatwe, bywają bardzo trudne. Drohobycz ze „Sklepów cynamonowych” Brunona Schulza czy Macondo ze „Stu lat samotności” Gabriela Marqueza, albo żywa planeta z „Solaris” Stanisława Lema – to zmyślane, nieprawdziwe tła dla zmyślonych postaci. Warszawa „Lalki” Bolesława Prusa – tak prawdziwa, jak w jego felietonach. A postaci – zmyślane, choć realistyczne. A do tego realistyczne, a każda w inny sposób – bo jest w nich i karykatura, i idealizacja, i satyra społeczna. Jest groteska, nostalgia, komizm, dydaktyka. Jedna postać ma to, druga co innego w metryce.

Boję się, że to co piszę, jest dla każdego właściwie oczywiste. Te dwa skrzydła, ich współlistnienie, ich współpraca w wysokich lotach kultury, uzupełnianie się skrzącym blaskiem skarbów języka. Ale nie pisałbym tego, gdybym nie chciał bić w dzwon alarmowy. Kultura traci równowagę, może podzielić i los i lot Ikara. W kulturze znika równowaga pomiędzy czytaniem literatury faktu i literatury pięknej. Dla hurtowników, dla właścicieli księgarni, to tylko kwestia zamówień takiego czy innego asortymentu. Dla narodu, dla jego kultury, to klęska porównywalna z wojną czy epidemią moru.

Czyta się za mało książek. A do tego czyta się więcej, coraz więcej literatury faktu, a coraz mniej fikcji, kreacji, literatury pięknej.

Można domyśleć się dlaczego. Żyjemy w świecie, gdzie politykę określa oświeceniowy racjonalizm, ekonomia stosuje się do rachunku maksymalnego zysku, oblicze cywilizacji stworzyły triumfy technologii elektronicznych. Wszystko co jest marzeniem, wizją, prorokowaniem, fantazjowaniem, lotem wyobraźni, skazano na roboty przymusowe przy kieratach rozrywki. Bo jakże tego nie lekceważyć, prawda?

Ludzie uwierzyli oszustom, że gdy będą dobrze poinformowani, będą nie tylko szczęśliwsi, będą także lepsi. Literatura faktu uważana jest za źródło cennych informacji – sięganie po literaturę faktu jest więc dobrze widziane, uzasadnione, dodające powagi.

A literatura piękna? Ot, zmyślenia, bajeczki. Takie wartościowanie łamie jedno ze skrzydeł lotu społeczeństw w przyszłość. Nie pamięta się o rzeczy fundamentalnej – literatura piękna rozwija wyobraźnię, wciąga czytelnika w dialog z wyobraźnią twórcy. Pozwala człowiekowi opuścić świat, aby wchodzić w inne światy, przestrzenie rządzące się innymi prawami. A do tego literatura piękna tworzy wzory osobowe, takie jak szekspirowski Prospero, jak Pickwick u Dickensa, jak Cezary Baryka u Żeromskiego, jak Kubuś Puchatek u Milnego czy Mały Książę u Saint-Exupéry’ego. Czy wreszcie Alosza Karamazow u Dostojewskiego. Nie mając takich towarzyszy podróży stajemy się samotni w tłumach ulic naszych metropolii.

Zwycięstwo rynkowe literatury faktu nad literaturą piękną to najsmutniejsze zwycięstwo. Ludzie, którzy nie mają za sobą doświadczenia czytelniczego w ogrodach literatury pięknej, nie są wiernymi czytelnikami literatury faktu – są jej głupiejącymi czytelnikami. Nawet czytając tych wielkich – Ksawerego Pruszyńskiego, Melchiora Wańkowicza, Hannę Krall, czy tych obiecujących nowych jak Jędrzeja Morawieckiego czy Filip Springera, wielkości nie dostrzegają, ale myślą o treści ich książek kategoriami plotki czy podręcznika historii. Ważna i mocna literatura faktu zmienia się w ich rękach w tabloid, bulwarowy towar książkowy. Degraduje się do kategorii rozrywki.

Tylko literatura piękna jest taką szkołą wyobraźni, która czytelnikowi literatury faktu pozwoli na samodzielną, budującą charakter refleksję nad tym, co przeczytał. Spotkanie z szukającym urody słowa kunsztem pisarza literatury pięknej pozwoli czytelnikowi literatury faktu odkrywać w jego lekturach walory estetyczne języka, elegancję konstrukcji, poszukiwanie sensu. Tak kończył się tekst dla kwartalnika bilgorajskiego „Tanew”.

Pójdźmy jednak krok dalej – oto gdy literatura piękna prowadzi czytelników do nowych światów, do Drohobycza w Macondo, literatura faktu przyczynia się do nowotworowego wyrodnienia, do puchnięcia i multiplikacji tego naszego świata. Real zachodzi w ciężę z wirtualiem. Filmy o Powstaniu Warszawskim, albumy, zbiory wspomnień, eseje historyczne tworzą w przestrzeni uwiecznionej faktem wyobraźni setki nowych Powstań. Mnożą się nowe oddziały powstańcze, barykady, zbrodnie, dowódcy... Katyń musi mieć reportaż z Katynia, film o Katyniu, tom dokumentów o Katyniu. Wszystko, co istnieje, musi mieć fotograficzne i filmowe kopie, opisy, interpretacje, świat zostaje zdublowany opisem świata, uzupełniony obrazem świata, a to wszystko w imię pogłoski, że tylko prawda jest ciekawa. Jaka prawda, ile prawdy, ile wiadomości o prawdzie na kilometr kwadratowy szarej substancji w naszych mózgach. Nikt nie pyta o jakość, nikt nie umie się bronić przed nadmiarem i fałszyfikatem. Prawda plotki wypcha się na miejsce prawdy metafizycznej, prawda gazeciarska, na miejsce naszych prawd rodzinnych, prawd intymnych, prawd z kręgu przyjaźni. Zaczynamy pojmować świat jako reportaż o świecie, tym lepszy im bardziej brukowy i sensacyjny.

A przecież tylko te prawdy, które odsłonić może fikcja, są istotne i zbawienne.

PS. Ostatnio Nobel – jakże sprawiedliwy – dla piszącej literaturę faktu Swietłany Aleksiejewicz jeszcze akcentuje dominację literatury faktu. Powieść jako fenomen ducha – już się kończy? Niedoczekanie.

Piotr Wojciechowski

Janusz Andrzejczak

A w brzezynie...

A w brzezynie cię czeka nagroda
ta ode mnie co w ciszy zastygła
podejdź tylko a do ust ci podam
garść poziomek w mych dłoniach jak skrzydła

Ich pachnące delikatne piękno
przez jeżynne ciernie przez rosę
do twych ust wilgotnych tak miękko
z najczulości ci czulej już niosę

Z brzeźnej bieli niosę ci czerwień
na pokorną na wszystko już zgodę
tak mi śpieszno bo jeszcze coś zerwie
każdą moją dla ciebie nagrodę

Cud

Przygaszał świat aż w końcu zgasł
ostatni ptak zaprzestał śpiewu
zapadł się w mrok żywiczny las
po dno paproci mchów i krzewów

Skąd w tej ciemności jeden pień
jeden jedyny w całej głuszy
zachował blask i mgnień i lśnień
że w dziupli nawet pył się wzruszył

Ktoś po bezdrożach mnie tu wiódł
ku jednej do następnej dali
i sprawił moją niemoc
cud
na jednym tylko pniu zapalił

Jak motyl

Wszystko jedno
złe dobre uczynki
takie inne gesty
czy słowa
całowałbym cię nawet
w jedynki
i w ziewanie bym ciebie
całował

Jeden włoszek
do ust bym przyłożył
i tchnął w niego życie
jak w runo
aż na moich policzkach
by ożył
i złotymi kosmykami
by sfrunął

Twoją ręką
zaledwie co tknięte
przez ciebie przedmioty
bym głaskał
choć to są tylko twoje ślady
na piaskach

Bym całował
i twoje zmęczenie
smutek płacz nawet
całowałbym cię w twój sen
i w jawę

Bym całował cię i w twój brak zgody
na te moje pieszczoty
stałe na nim przysiadam
jak motyl

Jerzy Binkowski

Litania do Najświętszej Maryi Panny

Karolowi Wojtyła – Janowi Pawłowi II

I

TRÓJJEDYNEGO tchnieniem otulona
jesteś we mnie modlitwą żarliwą
co wznosi Ciebie ponad ciężar ciała.

Błogosław moim ustom – Pani
Błogosław moje stopy – Matko
Błogosław moim oczom – Piękna
Błogosław sercu memu – Dobra
Maryjo – TOTUS TUUS

II

Przemieniasz ziarno w swoich dłoniach
Ożywasz szept źródła w piękny akord
Cisza jest psalmem kamienia drżącego
Błogosław moim ustom – Pani
Błogosław moje stopy – Matko
Błogosław moim oczom – Piękna
Błogosław sercu memu – Dobra
Maryjo – TOTUS TUUS

III

Przechowuję w pamięci uścisk dłoni Twojej
Znam Twój alfabet SŁOWO po słowie
Tkanina wieczności jest Twoim uśmiechem

Błogosław moim ustom – Pani
Błogosław moje stopy – Matko

Błogosław moim oczom – Piękna
 Błogosław sercu memu – Dobra
 Maryjo – TOTUS TUUS

IV

Odnajdujesz pielgrzyma zmęczonego
 Jakże ciemna jest noc gdy nie widzę Ciebie
 Zimno mi – Pani, zimno mi – Matko – Jasna i Górską

Błogosław moim ustom – Pani
 Błogosław moje stopy – Matko
 Błogosław moim oczom – Piękna
 Błogosław sercu memu – Dobra
 Maryjo – TOTUS TUUS

Duchu Świętej Miłości

Ryszard Chęstochowski

Przepływamy

Przepłynąłem w życiu wiele rzek jezior
w morzach pływałem
ocean mi nie obcy
widziałem ludzkie cierpienie
ogrom obojętności świata
też dotknąłem o poranku
przejeżdżając obok martwej wsi
wymordowano w niej wszystkich
w tym samym czasie inni się krzątali
kilka kilometrów dalej szykując kanapki
do pracy snując marzenia na przyszłość
zajęci sobą żadne to niby odkrycie jedynie
zdziwienie że tacy jesteśmy zmieniać tego
nie potrafimy taki kod przyszpilenia
zamykanie duszy w ciele
mrocznej piwnicy strachu
byle nie wyszła na światłość

Człowiek

człowiek wymyślił smak domowej zupy
człowiek pomyślał że trzeba przytulić
matkę dzieci kota
człowiek wymyślił książkę teatr muzykę
sztukę film taniec
człowiek pomyślał jak tu pięknie
na wzgórzu nad morzem wśród drzew

człowiek wymyślił pogotowie ratunkowe
straż pożarną szpital lekarza terapeutę
by pomóc bliźniemu swemu
człowiek pomyślał o prawdzie
sprawiedliwości uczciwości
człowiek wymyślił słowa
anioł stróż bóg sacrum

człowiek pomyślał że jest też
szatan którym czasami
on się staje

Bóg w nas

bóg nigdy nie przyszedł do mnie nawet
gdy płakałem w bólu chorobie samotności
lecz niewidzialnie ocalał mnie
jak jakaś nieodgadniona moc

teraz gdy już jestem stary patrzę na siebie
kilkuletniego chłopca i serce mi pęka
ileż ty mały musiałeś wycierpieć
poparzony w gorączkach z zapaleniami
nie poddałeś się tak bardzo pragnąłeś
żyć wiecznie
jaki ty silny byłeś maleńki
placzę po tobie
nie miałeś z kim porozmawiać bo każdy
zajęty był sobą
żadnego oparcia w nikim
tęskniący za miłością
mamy ojca brata boga

Ze zbioru pt. „Martwa natura z łapką na osy”

Sylvia Gibaszek

wiersze dedykuję Rafałowi Szymborskiemu z Garwolina

Wąwóz Lichteinstein

ziemia jest bezbronna
gdy zaprasza cię do
intymnych kontaktów

oglądasz jej skalne wnętrzości
kamieniste płuca
serce z głązów narzutowych
pompuje źródlaną krew
w wapiennej aorticie wodospad

możesz być znów w łonie matki
jako świadomy człowiek nie embrion

ale wystarczy że mocniej zaciśnie
granitowe uda

setki kobiet z plecakami w czadorach z dziećmi na rękach
setki ojców rodziny i singli
setki wielbicieli tęczy sportów ekstremalnych red bulla
domów rozkoszy nauk przedmałżeńskich
przepadną w czeluściach jej łona
zatrzasną się skały

cofnie wodospad
Wąwóz Lichtenstein zniknie z austriackiej mapy

spływa zielen kaskadami
zagęszczona słońcem
seledynowa oleista
wiatr ciągnie za włosy morze

w stronę ogrodu
sól na kwiaty nam sypie
tak z nasycenia rodzą się
pastele

błyszcz się
rozłóż parasol

deszcz solny
deszcz piaszczysty
pełen płatków i liści
nie jesienny nie
staffowy
o falochron uderza

a ty idź nad staw szmaragdowy
do Krzesznej
wskrzеси ciszę nad wodą
co przypomina ciężarną kobietę

nakarm ją
bo tam susza grzmi

nakarm ją
zanim luna
za piorunem wejdzie

Manifest antyfeministyczny

to oczywiste nie rzuca się atomowych bomb
bo nikt nie pozna twojej siły
iluminacja przed świadomością cię wypali

nie poznają ciebie jeśli będziesz w mundurze i z karabinem
spójrz na ziemię
ona nie broni się
wbrew prognozom i wyliczeniom nikt nad nią nie panuje
kiedyś jedynie uśmiechała się znacząco
to było dawno zanim ten bezczelny uzurpator Da Vinci
wykroił jej usta a potem ukradkiem wkleił do swojego obrazu

Jan P. Grabowski

WIELKIE PIĘKNO¹

Wielkie piękno to wcale nie... *Wielkie piękno*
Sorrentino, lecz *Osiem i pół*, *Słodkie życie* i
Amarcord Federico Felliniego. Wielkie piękno
to majowy zapach deszczu. Wielkie piękno to...

po majowym deszczu – kałuże, w których miasto
przygląda się swojej urodzie. Wielkie piękno to
i sopran Jackie Evancho. Ileż najwspanialszych
doznań, zachwytów zawdzięczasz temu sopranowi.

Wydawać by się mogło, że bezpowrotnie dzień
po dniu tracisz, nie zyskujesz (chyba jednak
nigdy nie zaprzestaniesz wschodów Słońca
kolekcjonować). Zyskujesz zatem, wystarczy

tylko trochę poobserwować, zapatrzeć... Albo
zasłuchać się w gwizd kosów, w głos Jackie.
Nie czekać na to, co – i tak prędzej, czy później
za jakiś czas, na pewno – i tobie tutaj się przydarzy.

Kolekcjonuj zatem wielkie piękno wschodów
Słońca. (Bo cóż to jest, budzić się o czwartej
nad ranem?). Kolekcjonuj każdy dzień majowy.
A przecież do kolekcji i czerwiec warto włączyć.

¹ Wiersz ten znajduje się w najnowszym tomie wierszy Jana P. Grabowskiego pt. *W czerni. I w bieli*. Projekt wydawniczy *W czerni. I w bieli* został zrealizowany przy pomocy finansowej Województwa Pomorskiego oraz Województwa Kujawsko-Pomorskiego. Patronat honorowy sprawuje nad nim Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa.

A wieczorem pogodnym szukaj – tuż ponad
Wegą, Lutnią w Herkulesie – bliźniaczej
siostry Słońca. (Gdyby ktoś ciebie wyglądał
stamtąd adres jest prosty: Droga Mleczna,

Ramię Oriona, jakieś 26 tys. lat świetlnych
od centrum Galaktyki). Póki co jeszcze
jesteś tutaj, gdzie na co dzień wielkie piękno
to także niepowtarzalny zapach rzepaku,

jego kolor niby ten sam rok w rok. Tylko ty
bliżej jesteś: dzień po dniu, krok po kroku ...
wielkiego piękna. Jeśli ono gdzieś Tam –
za Słońcem, za jego bliźniaczą siostrą – jest.

2014 r.

Antoni Pieńkowski

Krzyk

Kosilem rano trawę.
Skaleczyłem polną żabę.

Norniki, krety i ślimaki
Podniosły wrzask: Nie bądź pan taki!

Olchy i krzewy złożyły protest:
Obandażuj jej chociaż tę nogę!

Pobliski las zaczął szumieć.
Drzewa chciały wytargać mnie za uszy.

A dzisiaj w gazecie piszą, że chuligan
Dotkliwie pobił przypadkowego przechodnia.

Ratunku! Ratunku! Pomocy!
Głośno wołał napadnięty.

Przechodnie rozeszli się na boki. Szybko. W pośpiechu.
Byle zejść z oczu. Byle mieć spokój.

Głaz

Głaz omszały, poszczerbiony, porosły trawą
Leżał na dróg rozstaju.
Siadali na nim kupcy, grajkowie, pasterze.
Zajadali jajka na twardo, pajdy chleba z czosnkiem, smalcem, słoniną.
Głaz leżał przez lata.
Czas beztrosko płynął.

Pewnego ranka zaturkotał wynajęty wóz drabiniasty.
Głośni młodzi mężczyźni otoczyli głaz.
Dotykali, kopali.
– Dobry na te czasy!
– Odporny na ciosy!
– Pokrzepi nasze serca!
– Postawimy go w holu biurowca!
– Ładujemy go na wóz! – krzyknęli do woźnicy.
Konie strzygły uszami ze zdziwienia.

Na rozstaju dróg nie ma omszonego głazu.
Dół po nim pozostał, a w nim szaleją, robaki, mrówki.
Obok wędrowcy przechodzą, ocierają pot z czoła.
Rozglądają się za kamiennym rajem dla nóg utrudzonych.
Chodzą wokół. Pytają, starca, dziecka, młodzieńca:
Kto zabrał głaz, tak potrzebny w czasach
Złaknionych odrobiny serca?

Barbara Rosiek

Przechwałki

Mamy się spotkać
i podziwiać?
Ja stara dupa
i do tego kiepska w łóżku?
(tak usłyszałam z ust
przyjaciela)
wolę samotnie
stworzyć wizję
innego świata
gdzie przyjaciel
jest pokrewną duszą
i prosto kocha
mnie skomplikowaną
najprościej skreślać
bo na dodawanie
trzeba miłować

sierpień 2015

* * *

to się zdarza od tysiącleci
namiastka Romea i Julii
po scenie balkonowej
trzeba zginąć
nieważne czy umierasz inaczej
kiedy trafiasz na kamień w ustach
i nie obronisz się
dobita słowem
bo słowa ranią jak wymyślny
miecz samuraja
precyzyjnie jednym cięciem
wręcz doskonale krwawisz
zalewa otchłań bólu

i samotnie zanikasz
nie wierząc już nikomu
prosty krzyż zaklęty w samotności
bez oddechu

wrzesień 2015

* * *

Żyjesz
Baśka eR. to nowe wcielenie
poetki przeklętej
lecz wciąż żywa
modlisz się o nieobecność
rzeczywistość zbyt mroczna
zanika ból by dobić
pragniesz jednego
pokochać siebie
i nie dobijać kolejnymi
śmiertelnymi chorobami
rak zawał obłęd po którym
przestajesz wierzyć w siebie
zatruta zasmucona niewierna

Rafał Wojacek

Wojacek skończył żywot
z nadmiarem spermy
nie dojrzał do stanu ducha
zatruty wodą i rzygowinami
jedyne zwierciadło prawdy
to samobójcze prochy
poezja roztopiona w mgłę
absurdalnych wizji
psychotycznej materii
lęku i złości
to wszystko
i już nic nie ma

sierpień 2015

Krzysztof Rudziński

Dalej niż jedna miłość

Teraz wracali sami, ścieżką szli w milczeniu
znaną. Tamten ogród wcale się nie zmienił.
Trwał w ciszy praczłowieczej i roztaczał rosą
u stóp zmęczonych drogą. Brodzili w niej, boso
nieśli swój zamiar. Pamięć im mówiła,
którą ścieżkę wybierać. Ze zdwojoną siłą
przeszukiwali pnącza, dzieląc na połowę.
Wreszcie dostrzegli miejsce, gdzie ogrodu środek
wytoczył im starannie, ukwiecony mocno.
Tutaj ogród się lasił do nóg Drzewa. Rosło
nadmierzanie bujnie. – Była dziwna pora
i wiosny i jesieni o takich kolorach,
których dotąd nie znali, tam skąd wyruszyli –
owoce wraz z kwiatami, razem w jednej chwili
dojrzałe i w poczęciu. Nie umieli słowa
wydobyć z ust otwartych. Zastygli w zachwycie
– a więc to kiedyś dawno, tutaj wieczne życie
opadło z nich śmiertelne, jak kapitel – głowa,
u kolumny poznania. Odrąbano pień.
Wykarczowana pamięć, jeden tylko pęd
przechowywała trwale – nadzieję. W upale
na pustyni wygnania, że nadejdzie dzień,
kiedy zostanie cała odkupiona wina.

Teraz to się ziściło. Własnymi oczyma
patrzyli na konary, gdzie przyczyna grzechu
kusila znów powabnie, tak wezbrana w sobie,
że stanęli strwożeni. Spojrzeli po sobie. –
Ale już inni byli – o Miłość z Drzewa wsparci,
i o swoją miłość. Razem w dwójnasób mężni

nie słuchali węża. – A może go nie było,
i już znali smak? Choć kary nie czekali,
nie jedli, wiedzieli, o doczesność swą starsi,
że zapach spełnienia, przewyższa jego smaki.
Więc w siebie wtuleni, tym gorliwiej wachali
z Drzewa w zachwyceniu.

Są ze mną

Stapalem po Parnasie. Z rodzinnego miasta
dobiegał dźwięk tajemny, jak z Hadesu studni.
Wtedy, pierwszego sierpnia, w ciepłe popołudnie
stanął czas zaszczycony. Była siedemnasta.

Zerwała się Warszawa. A wszystkie marzenia
uleciały pod niebo, razem z gołębiami.
Teraz pisali szybko radosny poemat
ozdabiając go szczodrze młodymi sercami.

I znowu była wolna, swoją, przedwrześniowa.
Biało-czerwone flagi pokryły ulice.
Była Polska wieczorem i od rana znowu
i w południe i jeszcze – wyśniona, dziewicza.

Wiemy, co było później. Ktoś zapomniał o nas.
Ktoś się zatrzymał w marszu i za Wisłą zasnął.
Ktoś dokończył Katynia znową zniewolenia,
gdy zgasły światła Jalty i nadzieja zgasła.

Dzisiaj, po wielu latach, gdy zniknęły krzyże
i werble im do szturmów nie warczą w noc ciemną.
Widzę ich na ulicach, co roku wciąż bliżej,
jak biegną do Powstania – i żywi, są ze mną.

Jerzy Śleszyński

Dobosz

Nigdy nie umiałem tak jak on
ani z pryszczami na twarzy
ani w objęciach dorosłości
ani stojąc przed obliczem Lewiatana
nie miałem jego kaprysów i swady
nigdy nie grałem nie zwodziłem
niezależnie czy zależał od tego kciuk
skierowany w górę albo w dół

przykro to powiedzieć ale nie znoszę
zdolności a może wyuczonej umiejętności
wprowadzania innych w błąd
meandrowania w celu olśniewania
albo szyderczego obrócenia w żart
mówienia w celu dowartościowania się
pisanie żeby siebie unieśmiertelnić
radości ze skrywanego bycia ponad rozmówcą

a on bębni i bębni stalowymi pałkami
tworząc kolejne oksymorony
pustelnik na skrzyżowaniu ulic
pustelnik we wszystkich stolicach Europy
pustelnik na łamach codziennych pism
oczyma wyobraźni widzę jego armię
na przedzie idzie dumny dobosz (jak Oskar)
za nim kompania karłowatych replikantów

Rozmowy

Wbrew własnej woli
często słyszę rozmowy prostych ludzi
zadziwiają mnie

jak długo można roztrząsać pozorne kwestie
błache i pozbawione treści
jak długo używać zaimków nieokreślonych

zawracanie lub drogi okrężne żeby powtórzyć
co nie nadaje się do powtarzania
chytre podchody jawne jak dłubanie w nosie

mało skrywane grzebanie się w cudzym życiu
pretensje o pieniądze lub nagrody
prokreacyjne parady i gra przedwstępna

nie chcę ale słyszę
coraz mniej rozumiejąc z łańcucha DNA
którym jesteśmy spętani

Agnieszka Syska

bezmiar tak

głowa w wianku słońc dwunastu w wieńcu księżyców dwunastu

słońca pod jej stopami księżyce pod jej rękami

nazywają ją pieśnią jaśnią pieśnią

liczy od końca swoje z mar powstania liczy od początku swoje na mary padania
korowody początków i końców liczby pojedyncze i mnogie wartości malejące
i rosnące

liczy od końca swoje z nieba zstąpienia liczy od początku swoje na nieba
[wstąpienia]

zmarwstała namarypadła zmartwychwstała namartwychpadła zniebowzięta
wniebowzięta

zesłała na siebie błogosławieństwo i przekleństwo dziewictwo
i macierzyństwo
bezżeństwo i małżeństwo

wianek za jej błogosławieństwo dziewictwo bezżeństwo posłuszeństwo niech
mi się stanie

wieniec za jej nieposłuszeństwo

zesłała na siebie błogosławionego i przeklętego

nazywają ją pieśnią jaśnią pieśnią na zaślubiny monarchy

liczy od końca swoje stopy liczy od początku swoje ręce
błogosławiony poszedł przed przeklętym na końce korowodów liczb
przekłety poszedł po błogosławionym na początki korowodów liczb

stopy i ręce jak korowody jak liczby głowa jedna
staje na głowie liczy idzie na głowie liczy stopy nie dojdą poszły ręce nie dojdą
poszły

dokąd zawiedzie ją droga w czasie czas w drodze podstopie słońc podręczne
księżyców

głowa jak naręcze jak nastopie jak bezmiar tak i nie

zwiastowała nawiedzała siebie prorokowała wiersze za wierszami

głowa jej jak miłość największa z błogosławionych i proroctwo skończone
niewiedza nierozeznanie cymbał brzmiący miedź brzęcząca
wiara i nadzieja jej jak wianek i wieniec

jej duch zbudował ciało żywy kamień jej ciało zbudowało ducha żywą świątynię

jej głowa jak ziemiosklon jak niebosklon pomiędzy rękami i nogami
[i oblubieńcami]

jej głowa jak lono jak droga jak czas powiła ideę liczbę korowód

poszła dokąd ręce nie poszły poszła dokąd nogi nie poszły

powróciła do zwiastowania
powiła porodziła owinęła złożyła korowód początków
powróciła do zmartwychwstania

pośród druhen jedyna
zdrój i krynica najczystsza
oblubieńca swojego

wybrana gołąbka wybrana

zwie się Szczęśliwa chwalba Jej Szczęśliwości

pośród druhen jedyna
zdrój i krynica najczystsza
oblubieńca swojego

08 IV 2010, Gdańsk, Kartuska 247

Poemat przeznaczony do poszerzonego wydania książki pt. „stworzony z prawierszą”

Piotr Wojciechowski

Tam, w listopadzie

Nie spotkasz czasu w ogrodach przejrzystych
Ze złotem liści już się odprawilo
Wszystko co trzeba; w gusel sieć zawila
Noc pochwycona. Wstążkami rogi splecione i pyski
Z młodym trębaczem, i werblem, i lutnią
Odchodzi jesień. Już słońcu łeb utną
Lektur o zmroku solenne nieszpory
Mokry grzbiet listopada ciemnieje smugami
I jak panny bez lampek nadchodzą wieczory
W ciemnościach oblubieniec szepcze im przygany.

Zbigniew Zbikowski

vocatio

konie w ostatniej podróży
na wietrze rozwiane grzywy
w oczach ich smutek bezbrzeżny
w nozdrzach niepokój chrapliwy

kopytami wybijają
rytm bolesnego fandanga
raz-dwa-trzy i nasłuchują
rżenia bożego mustanga

fruńcie za nim ponad obłoki
pegazy me krwistoskrzydłe
spuście z niebios potok płonący
tchnijcie ogień w usta wystygłe

niechaj niebo zasnują chmury
niech w fortepian uderzą pioruny
wściekle wichry wyrwą klawisze
ostre deszcze wyprują struny

niech w ostatnim mocnym akordzie
oszałamieć bezsilnej pieśni
ciszę zimną jak ościę śmierci
grom rozerwie wyrwany z piersi

które iskra przetrąci w biegu
którym stos ofiarny zapłonie
zanieście wołanie me konie
na wasze niebiańskie błonie



Rys. © Piotr Wojciechowski

Grzegorz Gortat

Mur

(fragment powieści)

Przyznawał rację tym, którzy utrzymują, że czerwony jest kolorem wyjątkowym. Od siebie dodawał, że do pewnego stopnia uprzywilejowanym. Z czerwinią mundurów pięknie się komponowała biała flaga Republiki. A na tle czerwonych tulipanów, zwłaszcza u schyłku dnia, marmurowe posągi w alei Męczenników Siódmego Września patrzącym z daleka wydawały się mitycznymi olbrzymami, które na ich oczach budzą się do życia. Podejrzewał, że to połączony efekt kontrastowych barw i oddziaływania promieni słonecznych. Widok szczególne wrażenie wywierał na przybyśszach z prowincji.

Kolor czerwony miał również znaczący wymiar praktyczny. Na czerwonym nie widać krwi.

Wzniesione specjalnie na ten jeden dzień trybuny na placu Zwycięstwa Republiki tworzyły wielki czworobok. Pośrodku służby porządkowe ułożyły czerwony dywan. Trzy pierwsze rzędy zarezerwowano dla gości honorowych i przedstawicieli władz, w pozostałych zasiedli szczęśliwcy wybrani w drodze losowania, którzy następnie przeszli z powodzeniem skrupulatną kontrolę. Ci ostatni, w odświętnych białych strojach, siedzieli jak na szpilkach, świadomi obecności kamer bezpieczeństwa i agentów prezydenckiej ochrony, wpatrzeni w pusty jeszcze czerwony kwadrat, od czasu do czasu przenosząc wzrok na jeden z czterech ogromnych ekranów, na których do czasu rozpoczęcia transmisji wyświetlano najnowszą kronikę z życia Republiki.

Kiedy na ekranach pokazał się minister Grossman, widownia powitała go oklaskami.

Patrzył na Grossmana i też klaskał. Kamera pokazywała Grossmana od pasa w górę. Przemawiał na spotkaniu z weteranami Rewolucji w pierwszą rocznicę rozwiązania parlamentu i powołania Ministerstwa Postępu, które zastąpiło wszystkie dotychczasowe ministerstwa. Jeden prezydent, jeden naród, mówił Grossman. I jedno ministerstwo stojące na straży

dobrobytu obywateli. Kto sprzeciwia się postępowi, jest wrogiem narodu, podkreślił, zaraz potem dodając, że wszystko, co nie działa na rzecz postępu, dla dobra narodu zostanie wypienione.

Słuchał Grossmana i zastanawiał się, w którym dokładnie momencie sprawy potoczyły się w niewłaściwym kierunku. I czy ktoś lub coś może puszczoną w ruch maszynę jeszcze zatrzymać.

Egzekucja przebiegła szybko. Zaplanowano transmisję na żywo, a z długimi przekazami na żywo wiąże się to niebezpieczeństwo, że sytuacja czasami wymyka się spod kontroli. Pojawił się Grossman. Specjalnie na tę okazję rzadkie włosy ufarbował na czarno. Założył czarny garnitur i z wysokości udekorowanej czerwienią mównicy wydawał się szczuplejszy i wyższy.

Otworzyły się zamaskowane drzwi u podstawy centralnej trybuny i oddział Czerwonych Kurtek wyprowadził Rakoczego. Był nagi.

Patrzył na pergaminową skórę opinającą sterczące kości skazańca, na płataninę żył w chudym, pomarszczonym ciele, którymi wciąż płynęła krew. Nie było widać śladów tortur. Ale raptem Rakoczy wysforował się do przodu i wydał z siebie zwierzęcy jęk i rozwarł gębę jak potrafił najszerzej i siedzący najbliżej zobaczyli ohydłą jamę ust i trzepoczący się jak ryba przebita ościeniem kikut języka.

Grossman przystąpił do odczytywania wyroku, jego słowa jednak puszczano mimo uszu, bo najdrobniejsze szczegóły wszyscy znali z gazet i przy ogromie zbrodni, jakich Rakoczy się dopuścił, doprawdy przestało być ważne, czy ma na sumieniu dziewiętnaście czy sto dziewiętnaście ofiar. Wszystkim za to pilno było zobaczyć, w jaki sposób Republika odbierze życie nie przelewając kropli krwi.

Obserwował Grossmana. Karzeł najwidoczniej wyczuł rosnącą niecierpliwość tłumu i świadomy tego, że dzisiaj nie on jest najważniejszy, szybko przeszedł do katalogu przewinień skazańca. Spisek. Zdrada. Zamach stanu. Próba odwrócenia historii. Dzieciobójstwo. Zbrodnia odebrania życia.

Słuchał belkotu Grossmana i myślał, że prawdziwą zbrodnią Rakoczego było wylamanie się z szeregu. Jeden maruder może opóźnić marsz milionów. W tym widział podobieństwo Rakoczego do La Malle'a.

Biskup Julian La Malle był jedynym wysokiej rangi kleką, który z majowych czystek przed dwoma laty uszedł z życiem. Ostatecznie zmądrzał i dla ratowania własnej skóry zrezygnował z biskupiej godności. Zaszył się

na głębokiej prowincji, ale sutanny nie zrzucił, w złudnym przeświadczeniu, że chudej myszy łatwiej się prześlizgnąć przez grube oczka sieci Rewolucji. Nie zarzucił praktyk religijnych. Potajemnie dalej odprawiał msze, dawał śluby, chrzcil, grzebał w poświęconej ziemi i stosował cały pozostały arsenał kuglarskich sztuczek, z których od wieków jest znana chrześcijańska sekta. Wpadł we własne sidła, gdy odmówił udzielenia ślubu dwóm mieszkańcom pobliskiego miasteczka, od niedawna pełnoprawnym członkom zgromadzenia, w rzeczywistości podoficerom z lokalnego garnizonu Czerwonych Kurtek. Proces odbył się w stolicy. Od początku było wiadomo, że La Malle zapłaci najwyższą cenę. Nie dość że oddawał się zakazanemu bałwochwalstwu, to jeszcze złamał zasadę równości obywateli. W procesie powoływał się na przepisy religijne, wedle których małżeństwo mężczyzny z mężczyzną jest sprzeczne z prawami boskimi. Grzech sodomii i takie tam klesze banialuki. Powieszono go na więziennym dziedzińcu. Bez rozgłosu, bo, o dziwo, w wielu częściach kraju, stolicy nie wyłączając, aresztowaniu i procesowi towarzyszyły gwałtowne protesty. Kiedy żona Rakoczego podpisywała petycję w obronie klechy, La Malle był już trupem. Pociągnął za sobą do grobu innych, bo nie dla wszystkich popleczników biskupa Republika okazała się równie pobłażliwa co dla Elly Rakoczy.

Bóg. Grzech. Wina. Obciążony takim balastem świat La Malle'ów i Rakoczych należał do przeszłości. Razem z nim powinni odejść i nikt nie będzie po nich płakał. Na pewno nie on. Rzecz w tym, że nowy świat, do którego powstania przyłożył rękę, zmierzał w złym kierunku. Był podobny do pociągu, który niezauważenie wjechał na niewłaściwe tory i z każdym kilometrem nabiera prędkości. Prędzej czy później się wykolei albo zderzy z przeszkodą. Chyba że ktoś w porę zatrzyma rozpędzony skład. Nie wymyślił jeszcze, jak tego dokonać, wiedział za to, że polegać może tylko na samym sobie. Bo jedyny spisek, któremu nie zagraża zdrada z zewnątrz, to ten przygotowany i przeprowadzony od początku do końca przez samotnego spiskowca.

Grossman przystąpił wreszcie do wygłaszania poprzedzającej egzekucję zwyczajowej formułki. Mówił tonem nawiedzonego klechy i kiedy go słuchał, wciąż rozpamiętując szaleństwo i śmierć Juliana La Malle'a, o mało się w głos nie roześmiał. Kochamy cię, Janie Rakoczy, smęcił Grossman uroczyście. Wystąpiłeś przeciwko nam, ale skruszony powracasz, podobnie jak syn marnotrawny wrócił do domu ojca, Samuela Millsa, a my za przy-

kładem Samuela i jego pozostałych jedenastu synów z serca ci wybaczymy. Nie przelejemy twojej krwi. Ble, ble, ble.

Znal prawdziwą historię Millsa. Sam był wtedy dzieckiem i pamiętał, jaką grozą napelniała go myśl, że i on mógłby się znaleźć na miejscu synów Samuela. Samuel Mills naprawdę nazywał się Aram Michta i miał czterech synów. Byli dziećmi, kiedy ojciec sprzedał ich zagranicznym handlarzom żywym towarem. Trzech zmarło w młodym wieku, czwarty wpadł w oko perskiemu książętku, w krótkim czasie dorobił się fortuny i pod zmienionym nazwiskiem powrócił, by ojca zabić. Złapano go niemal na gorącym uczynku, ale dzięki pieniądзом uniknął oskarżenia i kary. W matactwach śledczych posunięto się tak daleko, że z czasem przeinaczona doszczętnie historia stała się jednym z mitów założycielskich Republiki, fundamentem, na którym wzorem dawnych religijnych fantasmagorii wznoszono kolejne pietra politycznej uludy. Wyplenivszy jedną religię – komentował w myślach, niezbyt pilnie słuchając Grossmana, śledząc za to zachowanie skażenica – świat z biegu przystępuje do stwarzania nowej, bo nic tak nie służy postępowi jak poruszanie się po utartych koleinach.

Ledwo Grossman skończył, Rakoczy wyrzucił w górę zaciśnięte pięści, jakby groził całemu światu. Sześciu rosłych drabów ze stołecznego garnizonu Czerwonych Kurtek otoczyło go ciasnym pierścieniem. Z rękami założonymi w tyle za pas, w milczeniu, rytmicznie posapując, zaczęli na niego napierać niczym drwale próbujący przewrócić nadpilowane drzewo. Rakoczy zniknął za żywym murem z napiętych karków i naprężonych ud. Po chwili słychać już było tylko terkot wentylatorów pod sufitem, rytmiczne sapanie żołnierzy, skrzypienie ich skórzanych butów o wysokich cholewach i trzask pękających żeber. Żołnierze oddychali coraz głośniejszym i chrapliwiejszym, ale utrzymywali szyk. Wreszcie na komendę się rozstąpili.

Rakoczy leżał zwinięty w kłębek i przypominał ostrzygę wysaną z muszli. Jeśli polala się krew, to czerwony dywan ją wchłonał.

Siedział i wraz z innymi patrzył na trupa, choć powinien był wstać i odejść, by niczym się nie zdradzić. Przymknął oczy – i zobaczył więcej. W jednym rzędzie z Rakoczym leżały dwa inne trupy. W jednym rozpoznał biskupa La Malle'a, w pocerowanej sutannie, wciąż z pętlą na szyi. Tuż obok przegalopował wystraszony koń bez jeźdźcy. Biegł na oślep, prosto w ścianę ognia. Widząc to ojciec powiedział: Przyjdzie dzień gorący jak piec i spali winowajców. Przestroga z księgi, jak ją ojciec zapamiętał; księgi, która przechowała słowa Dawida, Koheleta, Aarona, Izajasza i Ezawa

i istniała na długo przed pojawieniem się fałszywych prorocत्व z księgi Samuela Millsa.

Trzeci trup miał znajomą twarz. Widywał ją, ilekroć stał przed lustrem.

Nie powinienś był tego zobaczyć, powiedział ojciec z miejsca, gdzie teraz przebywał.

Grzegorz Gortat

Zrealizowano w ramach
stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego





Rys. Piotr Müldner-Nieckowski

Janusz Krasiński

Wizyta w Pradze

(fragment powieści*)

Budynek był nowoczesny. Szli krętymi korytarzami, w świetle jarzeniówek. Napotkani radiowcy mijali ich chylkiem. Przemykają jak oskarżeni w labiryntach sądów z *Procesu* Kafki, przebiegło Szymonowi przez myśl. A może mu się tylko tak wydawało.

W studiu dyrektor Hozlik z tajemniczym uśmiechem przedstawił im niemłodego już mężczyznę z krótką, zaczesaną na czoło grzywką:

– Redaktor Terplicka, kierownik działu satyry!

Przedstawiony pousuwał na bok żurawie mikrofonów i uniesieniem złotego ołówka nakazał przerwać łączność ze studiem. Za dźwiękochłonną szybą dwoje młodych montażyistów pospiesznie zmieniało krążek taśmy. Nakładając go na talerz magnetofonu, zerkali ku nim nieco lękliwie, jakby ukrywali coś zakazanego, coś, co jednak zdecydowali się pokazać im w zaufaniu. Szymon pochylił się Witoldowi do ucha:

– Co oni tam szykują?

– Nie mam pojęcia!

– Wygląda to jakby jakaś konspiracja.

– Coś ty? – prychnął z cicha. – Czeski *rozhlás* i konspiracja...!

Szymon skinął głową ze zrozumieniem.

Wtem redaktor Terplicka podniósł rękę z ołówkiem na znak, żeby przerwać rozmowy, a nad szybą studia zaświeciła się czerwona lampka. Umilkli. Nagle zaległa ciszę rozdarły ostre agresywne dźwięki instrumentów dętych. Po chwili przez ich ogłuszający, przeraźliwy wrzask jęła przebijając się zniekształcona, lecz skądś znana Szymonowi melodia. Pewny, że zna do niej słowa, nie mógł znaleźć ich w pamięci. Aż w nieznosny rumor trąbiącego metalu wtargnął głos piosenkarza. Wywrzaskiwał po angielsku, ale jemu udało się wreszcie podłożyć polskie słowa:

– *Czy pan już zna miasteczko Chattanooga choo choo?* – zamruczał.

Noe roześmiał się, Witold ukrył swój uśmiech pod powagą zmrużonych powiek. Słuchali zanurzeni we wspomnieniach.

Niegdyś sentymentalny szlagier wznoszonych po wojnie z gruzów miast, jeszcze po wyjściu Szymona z więzienia, nucony nie tylko przez młodzież. Teraz, w swej nowej jazzowej wersji, ledwie do tamtego podobny, a jednak mu bliski. Słuchali pewni, że to tylko początek jakiejś słownej audycji, że za chwilę instrumenty zostaną wyciszone i zacznie się dialog słuchowiska, które trzeba będzie wysłuchać w przekładzie pani Eleny. Lecz piosenkarz nie przestawał przekrzykiwać się z wyjącą sforą zagłuszających go saksofonów. Perkusyjne instrumenty dudniły, rytmem pędzącego pociągu, czarowne miasteczko *Chattanooga choo choo*, wysnute z szalonej melodii jak z porannej mgły, zamajaczyło im gdzieś hen, za dźwiękochłonną szybą. Dali się porwać wyobraźni, zablakani wśród wspomnień zapomnieli, czego oczekiwali i w pełni oddali się jazzowej muzyce. Dyrektor Hozlik nie krył satysfakcji, patrząc jak redaktor Terplicka potrząsa ołówkiem, aby podkreślić rytm saksofonu. Wreszcie dał znak montażyście. Przyspieszyła obroty i nagle szmer szybko przewijanej taśmy, podniesiona wysokość dźwięków, piosenkarz zapiszczał cienko i umilkł. W chwilę potem z głośników odezwał się męski głos, czeski już, nie amerykański. Komentował to, czego wysłuchali. O jazzie, tańcu boogie-woogie mówił, podrwiwając z nich zdrowo, a każdej z tych drwin towarzyszyło ironiczne parskanie śmiechów. Był ich cały chórek. Z podbechtujących go do śmiechu kpin komentatora Szymon zrozumiał, że to, co usłyszeli, to nie była nawet kocia muzyka, gdyż koty mają własną, niezaprzadaną w służbie imperializmu amerykańskiego, zaś miasteczko *Chattanooga choo choo* mogłoby być rajem dla kochanków, gdyby nie było w nim slumsów i gdyby nie bito tam Murzynów. Wielu innych rzeczy nie złapał, nie rozumiał, a Elena nie miała ochoty ich tłumaczyć. Wreszcie wyłączono dźwięk. Noe rzewnym spojrzeniem popatrzył na redaktora Terplickę.

– To, o co tu chodzi? – zapytał.

– My, redakcja satyry – odparł redaktor – uczymy młodzież, czego nie powinna słuchać. Jazz to muzyka słusznie zakazana, działająca destrukcyjnie na młode umysły i tylko nam, satyrykom wolno dawać ją na antenę. Nam, ponieważ wiemy, jak zniechęcić do niej młodzież. Umiemy to robić, nikt tak jak my nie potrafi jej zohydzić i ośmieszyć.

– I naprawdę to się wam udaje? – zapytał Noe.

– Z powodzeniem – odparł Terplicka, wsadzając ołówek między zęby.

– Naszych komentarzy słucha cała młodzież, oczywiście łącznie z muzyką.

Byli w studiu satyry, więc niepewni czy to, co mówi, jest tylko satyrą, czy też należy to brać poważnie.

– My, w naszej rozgłośni – odezwał się dyrektor Hozlik – rozumiemy polityczną szkodliwość takiej imperialistycznej kakofonii i staramy się ostrzec przed nią słuchaczy. – Uśmiechnął się niemal filuternie, co natychmiast wywołało reakcje na twarzy satyryka. Pracę swą zdawał się traktować ze śmiertelną powagą i domagał się, by tak ją traktowano.

– Nasza satyryczna audycja, cieszy się ogromną popularnością – rzekł z wyniosłą miną. – Ma największą słuchalność w kraju. Młodzież, jak już mówiłem, przede wszystkim młodzież! Nawet ta, która nigdy sama nie otworzy radia, włącza je w godzinach naszej audycji.

Słuchali tych wypowiedzi w kompletnym oszołomieniu. Elena z zażenowaniem, Szymon całkiem skolowaciały, Witold z nieprzeniknioną maską twarzy. Odezwał się Noe.

– No, to ja się temu nie dziwię – rzekł. – Dajecie zakazaną u was muzykę jedynie po to, aby pokazać słuchaczom, czego nie powinni słuchać? A zaś wasza młodzież pędzi do odbiorników, żeby nie opuścić tej audycji, niesłychane!

– Terplicka zrobił komiczną minę i natychmiast pokrył ją kamiennym obliczem.

– A u was w Polsce? – zapytał. – Taka muzyka czy mogłaby pójść na antenę bez komentarza?

– Jak by to panu powiedzieć – odparł Wertzhaizer. – U nas tego się nie komentuje, u nas to się tańczy.

– No, od pewnego czasu – mruknął Witold.

Terplicka obrzucił go posępnym spojrzeniem. Żyjąc w tym samym co oni politycznym obozie, musiał mieć żal do losu, że przyszło mu znaleźć się w tym, o ileż bardziej uciążliwym reżimowym baraku. Ale jazz, zakazany import z Nowego Orleanu, wielka fascynująca muzyka! Niewątpliwie był jednym z pierwszych jej szermierzy w państwie prezydenta Nowotnego.

– Pan Terplicka – rzekł Szymon – to było *velmi interesantní!*

Witold i Noe popatrzyli po sobie, uśmiechnęli się i podeszli do pana Terplicki uścisnąć dłoń.

– Valdstejska Hospoda to jedna z najstarszych w Pradze – powiedział pan Hozlik, zapraszając na obiad.

– Valdstejska, tak, wiemy! To na Mala Strana, w najpiękniejszej dzielnicy Pragi. Słynie z dobrej kuchni! – rzekł Noe ze znajomością rzeczy.

– Tak, *luxusni restaurant!* – zgodził się pan Hozlik.

– *Luxusni* znaczy luksusowy? – starał się odgadnąć Witold.

Lubił luksus, traktował go jak odtrutkę na nędzę socjalizmu. Podniecało go to słowo. Szymona bawiło co innego. Tak niedawno zakładał w celi głodówkę: materiały piśmienne lub zamorzy się na śmierć! Prawdę mówiąc, wolalby zjeść coś szybko w przygodnym barze i pójść zwiedzać miasto. Ale to, co mógł w więzieniu – wystawić miskę na korytarz i odmówić jedzenia – teraz członkowi delegacji Polskiego Radia nie wypadało. Miał obowiązek zjeść w Valdstejskiej Hospodzie wykwintne czeskie danie.

Przy stole zrobiło się nawet przyjemnie. Jego przyjaciel długo studiował kartę menu. Snobistyczne gusta kazały mu odrzucić pomoc tłumaczki i samemu wybrać coś ze specjalności czeskiej kuchni. W końcu zaordynował:

– *Brambory!*

Nie minęła chwila, gdy sztywny jak świeca kelner, przyniósł mu na talerzu kilka ugotowanych kartofli.

– Oj, chyba popełniłem duży nietakt kulinarny! – zawołał mój przyjaciel, spoglądając w talerz z dymiącymi ziemniakami.

Ktoś się roześmiał, chyba Noe i nawet pochmurny pan Šimek skrzywił w uśmiechu wargi. Przyjaciel mój skonfundowany, byłby pewnie stracił humor na cały wieczór, gdyby nie pani Elena, odtrącona przezeń tłumaczka.

– Ach nie, panie Witoldzie! – rzekła, odgadując jego snobistyczną naturę. – Wybierając ziemniaki w niczym nie naruszył pan kulinarnej etykiety. To tylko wpadka językowa. Doprawdy niewielka. – I by odwrócić jego uwagę od stołowego incydentu, rzekła:

– Mnie zdarzyła się znacznie gorsza.

– Gorsza, co pani powie? – zaniepokoił się Witold.

I opowiedziała:

– Kiedyś w hotelowym barku. Mam pod opieką wybitnego polskiego pisarza. Nawet miły, tylko koniecznie chce mnie zaprosić do swojego pokoju. – „Ja jestem tłumaczką, mówię mu, nie panienką do towarzystwa.” – Ale on zagląda mi w oczy, czaruje. Wreszcie, aby mnie rozculić, robi smętną minę: – „To ja sobie pójdę!” – mówi. A ja mu na to: – „No, to chodź!”. – O matko, „chodź”! „Pójść, chodzić, iść”! Niby to samo, ale jakże inny sens! Co ja z nim miałam, zanim dał sobie wytłumaczyć, że chciałam mu

powiedzieć nie „no, to chodź”, tylko „no, to idź”. Ale niech pan zamówi jakieś prawdziwe danie! – rzekła, biorąc jego kartę, by mu coś doradzić.

Zamówił, jakiś czas jedli w milczeniu.

– *Sodrub* Bolesta, taki małomówny – zauważył nagle dyrektor Hozlik. – A może jeszcze coś z karty? – Podsunął mu ją uczynnie. – Jest doskonale jagnię prosto z rusztu.

Sodrub, sodrub...! Nie mógł tego ścierpieć. Miał na końcu języka, że *sodrub* Bolesta dziękuje za jagnię, że kaszę do niego zjadł już w stalinowskim więzieniu. Zbierał się, by zaprotestować przeciwko nazywaniu go towarzyszem, lecz obawiając się, że sam popełni jakiś polityczny nietakt, szepnął w ucho przyjacielowi:

– Powiedz im, że nie jestem towarzyszem!

Dunajewski zgrzytnął nożem po talerzu i rzekł:

– Pan Bolesta od niedawna pracuje w Polskim Radiu. Przesiedział wiele lat w stalinowskim więzieniu, a obecnie jest naszym cenionym autorem i moim zastępcą w redakcji słuchowisk.

Konsternacja. Zastygły nagle w powietrzu wzniesione do ust sztućce. Wrażenie było ogromne. Jednakże wyrażone mu, niewątpliwie szczere głębokie współczucie, ponuro milczące. „Wieloletnie więzienie, co pan tam Musiał przejść!” – Tak, ale to tylko wzrokiem, bez słowa, bo te mogłyby być niebezpieczne. Wszak wciąż jeszcze trwali na froncie walki z klasowym wrogiem. Najbardziej jednak wstrząsnęło to *sodrubem* Šimkiem. Mając dotąd Dunajewskiego za człowieka partii, zaś Szymona za agenta służb, poczuł się podwójnie oszukany. Jakże były stalinowski więzień mógł zająć stanowisko w rozgłośni Polskiego Radia!

– *Sodrub* Bolesta – rzekł gniewnie. – Ten wasz wyrok, to za prawicowe odchylenie w partii, aaa?

– *Sodrub* Bolesta nigdy nie był w partii – odrzekł Noe. – Zresztą tak jak i my obaj z panem Dunajewskim.

To było nie do wiary. Dyrektor Hozlik popatrzył na Noego z niedowierzaniem, zaś *sodrub* Šimek niemal nienawistnie. Ach, ci Polacy...!

Ale tak, Złata Praha! Nie był prażaninem, nie został tu oskarżony o prawicowe odchylenie, nie stanął, jak Slansky, przed czeskim stalinowskim sądem i to była jego jedyna szczęśliwie wygrana. Bo gdyby nawet wywinął się od kary śmierci, to nie wyszedłby z więzienia do dziś.

Kończyli obiad.

– Jutrzejszy dzień macie wolny, przeznaczony na zwiedzanie miasta – rzekł dyrektor Hozlik.

– Ale czy ktoś mógłby zaprowadzić nas na grób Franza Kafki? – zapytał Wertzhaizer.

Wprawilo to dyrektora Hozlika w pewne zakłopotanie. Odparł, że w zasadzie na odwiedzanie miejsca spoczynku tego pisarza nie ma wyraźnego zakazu, lecz nie prowadzi się tam oficjalnych delegacji.

– Dlaczego zaraz oficjalnie? Czy nie możemy prywatnie, w ramach wolnego czasu? – rzekł Noe.

– Dyrektor Wertzhaizer pracuje nad adaptacją sceniczną *Procesu* – pospieszył mu z pomocą Dunajewski. – Zamówił ją u niego jeden z warszawskich teatrów. Pewnie chciałby pomilczeć chwilę nad grobem autora. Duch miejsca zawsze przemawia do wyobraźni, a coś bardziej może ją pobudzić?

W Hozliku pogłębiło to tylko zakłopotanie.

– Adaptacja sceniczna, mówi pan? Niezmiernie interesujące! *Proces* Kafki, można by zrobić z tego doskonale słuchowisko, ale u nas jak na razie... – Mówił to z żalem. Ten polski gość powinien rozumieć, że samo wymienianie nazwiska potępianego surrealisty to duży błąd polityczny!

– Ale panowie chcieliby pójść na żydowski cmentarz – powiedziała pani Elena szukając wyjścia z trudnej sytuacji.

– Ach tak! Na żydowski cmentarz – ożywił się dyrektor. – To niedaleko. – I zapytał panią Elenę, czy będzie mogła nimi się zająć.

Mogła, a nawet chciała pomóc im znaleźć drogę do grobu wielkiego pisarza.

Janusz Krasiński

* Powieść Janusza Krasińskiego (1928-2012) pt. *Przełom* ukaże się nakładem Wydawnictwa Arkana, Kraków, 2015. Tytuł fragmentu pochodzi od Redakcji.

Jerzy Marciniak

Wieczór w parku

(aktor Max von Sydow gra w szachy)

Dzień był pochmurny i szybko zaczął zapadać zmrok. Wszedłem do parku. Pod stopami szeleściły opadłe liście. Na jednej z ławek siedziało kilka młodych osób. Palili papierosy i głośno rozmawiali, a wyrazy niecenzuralne wypowiadali prawie, że krzykiem.

Podszedłem pod pałac. Wyglądał dokładnie tak, jak opisywała go Iwa baronowa Bennet córka pisarza Stanisława Przybyszewskiego i norweżka Dagny Juel. Pod koniec swojego długiego życia zamieszkała w domu starców w Lund. Mieście uniwersyteckim leżącym na południu Szwecji. Nieraz ją odwiedzałem, bo ona umiała tak ładnie wspominać.

– Duży pałac, wzorowany trochę na baroku i w porównaniu z naszym masywnym zamkiem, to wyglądał tak trochę zwiewnie, taki nieregularny budynek z jedną wieżą, było tam takie boczne wejście na piętro, ładnie zbudowane, jak tam przybywałam, to tym wejściem najczęściej wchodziłam, bo zatrzymywałam się w pokoju od strony parku.

Pałac w Kalsku, niedaleko Gorzowa Wielkopolskiego, był przed wojną własnością Karla von Sydow i jednocześnie stanowił główną siedzibę tej rodziny. Arystokratycznego rodu pochodzenia niemieckiego, który w Szwecji doszedł do znacznego majątku i dużego znaczenia. Dzisiaj z majątnością to u nich jest tak, jak jest, ale nadal są jedną z najbardziej liczących się rodzin w Skandynawii.

O pałacu w Kalsku usłyszałem po raz pierwszy w auli Uniwersytetu w Lund. Na spotkaniu z aktorem Maxem von Sydow. Urodzonym i wychowanym zresztą w tym mieście. W Lund i ja od wielu lat mieszkam. Studenci zaczęli wypytywać go o Fredrika von Sydow o zjazd rodzinny w Kalsku i o mszę w przypałacowym kościele. On jednak albo milczał, albo rozkładał ręce w geście bezradności, lub mówił nie na temat:

– Nie wiem co tutaj powiedzieć można, a co powiedzieć by należało, to... nie pamiętam dokładnie, bo to było tak dawno temu... nie chcę

o tym mówić publicznie, bo ja jednoosobowo nie mogę mówić za całą rodzinę... u nas w domu były dwie szachownice i nieraz próbowałem grać z ojcem w szachy, ale na szachownicy ustawiałem dosyć często albo same czarne pionki i czarne figury, albo same białe, że nie wiadomo było, kto ma rozpocząć grę... zresztą gazety pisały o tym, co się wtedy wydarzyło w naszej rodzinie, to można tam zajrzeć... ja wybrałem aktorstwo, bo ono pomoże mi dojść łatwo tam, gdzie przecinają się dwie proste równoległe.

I ten słynny aktor cały czas wyglądał na takiego przybitego tymi pytaniami, że chwilami przypominał scenę z filmu Ingmara Bergmana. Tę w której Bohater gra w szachy ze Śmiercią.

Iwa i Zenon Przybyszewscy zostali zaadoptowani przez Gudrun Westrup, bezdzietną siostrę Dagny i zamieszkali w Lund. Ich ojczym Wilhelm Westrup był wtedy jednym z najbogatszych przemysłowców w Szwecji. Zenon ożenił się z Anną De Geer, córką premiera Szwecji Luisa De Geer, który był synem premiera Luisa De Geer i... I dosyć szybko popadł w konflikt z rodziną von Sydow. W krótkim skrócie mówiąc, teść Zenona Przybyszewskiego Luis De Geer był synem premiera Luisa De Geer, który stanowisko to pełnił kilka lat, a syn premiera był premierem zaledwie cztery miesiące. Na stanowisku tym zastąpił go... Oskar von Sydow. Ta zmiana na stanowisku premiera była podobno nie tak do końca przejrzysta. Do tego brat Oskara von Sydow tłumaczył tę zmianę na stanowisku szefa rządu, tak jak tłumaczył, bo mówił; nazwisko ojca Luisa De Geer jest na pierwszy rzut oka podobne do nazwiska syna Luisa De Geer i wielu z tych co głosowało na Luisa De Geer myślało, że głosują na Luisa De Geer, bo jakby oni wiedzieli, że głosują na Luisa De Geer, to od razu premierem wybrany zostałby Oskar von Sydow. To wszystko spowodowało zmianę stosunku przyjaźni pomiędzy rodziną ustępującego premiera a rodziną wstępującego premiera na inny rodzaj uczuć. I ten inny rodzaj uczuć pomiędzy rodziną De Geer i baronami Bennet z jednej strony, a rodziną von Sydow z przeciwnej, trwał kilkanaście lat aż do tego czarnego marcowego dnia, w którym Fredrik von Sydow...

A dokładniej mówiąc, to było tak, że 7 marca 1932 roku w Sztokholmie, student prawa Fredrik von Sydow wziął ciężki pogrzebacz i uderzył w głowę swojego ojca siedzącego w głębokim fotelu Hjalmara von Sydow, znanego prawnika i polityka... I spokojnie patrzył, jak uderzony konał a by pozbyć się świadków, to zaatakował kucharkę i ona stała się drugą ofiarą śmiertelną, a później tym samym pogrzebaczem zabił pokojówkę.

Następnie zamknął mieszkanie, pożyczył pistolet od swojego kolegi, pojechał do swojej młodej, niedawno zaślubionej żony i zaprosił ją na obiad. Fredrik von Sydow korzystał z pieniędzy swojego ojca i był człowiekiem zamożnym, a do tego lubił życie na wysokiej stopie. Po obiedzie w wytwornej restauracji w Sztokholmie wsiadł z żoną do samochodu i pojechał do Uppsali na kolację. Tam w restauracji znanego hotelu raczyli się dobrym jedzeniem i drogimi szampanami. Późnym wieczorem cywilni policjanci zjawili się w hotelowej restauracji i poprosili portiera by wywołał Fredrika von Sydow na korytarz. Pierwsza wyszła uśmiechnięta, będąca w szampańskim nastroju małżonka i usiadła na kanapie, następnie wyszedł Fredrik von Sydow, nachylił się do niej, pocałował w policzek i strzelił jej w głowę z pistoletu, a potem szybko strzelił sobie w skroń... Postać Fredrika von Sydow, jego pogrzeb oraz msza żałobna za jego duszę, są po dzień dzisiejszy tymi tematami, na które rodzina się nie wypowiada. Max von Sydow też nie chciał o tym mówić.

A przecież powszechnie wiadomo, że w kilka dni po tych wydarzeniach, późnym wieczorem wyjechał karawan z trumną, na której nie było żadnej tabliczki. Na koźle siedziały dwie osoby ubrane na czarno. Ciemnymi ulicami Sztokholmu podjechali na cmentarz, boczną bramą wnieśli trumnę, złożyli do grobu i szybko odjechali.

Przez park podszedłem pod kościół. To w nim odbyła się ta wieczorna, cicha i jedyna msza żałobna za duszę Fredrika von Sydow. Rodzina von Sydow o tym milczy i nigdy nie potwierdziła, że ta okryta tajemnicą msza żałobna się odbyła. Jednak jest powszechnie znane, że po pogrzebie Hjalmara von Sydow, który skończył tą samą szkołę średnią w Lund co i Iwa Przybyszewska, von Sydowowie przestali się w Szwecji pokazywać przez kilka dni. Po prostu w tym czasie zjechali się do Kalska. Drzwi pałacu zostały zamknięte. W oknach pozaciągano zasłony, a służba otrzymała zakaz udzielania jakichkolwiek informacji. Aktor Max von Sydow milczy na ten temat, ale wiadomo, że też był w tych dniach na ziemi gorzowskiej i uczestniczył w tej mszy żałobnej za duszę swojego krewnego.

Stałem przed pałacem. Za drzewami parku widać było światła samochodów przemieszczające się w stronę Gorzowa lub Zielonej Góry. Jakaś starsza kobieta szła powoli chodnikiem. Zagadałem do niej.

- Do kogo należał pałac przed wojną?
- A do jakiegoś tam... no, bogaty był?
- Zna pani takiego aktora szwedzkiego Maxa von Sydow?

– Ja to nie znam... ja to rzadko na telewizor patrzę, bo to nie ma na co patrzeć teraz.

Pokręciła głową i zaczęła odchodzić.

Po tej tragedii rodziny von Sydow, Zenon Przybyszewski puścił w niepamięć sprawę usunięcia jego teścia z posady premiera. Zresztą on dobrze rozumiał ból rodziny von Sydow. Sam przecież przeżył podobne zdarzenie w Grand Hotelu w Tbilisi, gdy Władysław Emeryk na jego oczach zastrzelił mu matkę, później wymierzył pistolet w jego kierunku, ale ostatecznie skierował lufę we własną skroń, popelniając samobójstwo. Tak że pomiędzy tymi dwiema arystokratycznymi rodzinami zapanowały relacje, które były czymś pośrednim między wrogością a żarliwą przyjaźnią. Iwa baronowa Bennet była w pałacu w Kalsku dwukrotnie. Znała się z Maxem von Sydow, bo obydwójce wychowywali się w Lund. Z tym że te relacje to też mieściły się w takim przedziale, między wrogością a przyjaźnią. Raz trochę odchylone w jedną stronę a drugi raz nieco w przeciwnym kierunku. Ona miała zostać pianistką i podczas I Wojny Światowej studiowała w Wyższej Szkole Muzycznej w Dreźnie. Ostatecznie jednak pianistką nie została. Nie mam dobrego słuchu i słyszałem jej grę tylko parę razy, ale jak na osobę po dziewięćdziesiątce, to grała całkiem dobrze. Max von Sydow chciał zostać aktorem i nim został. Ona o jego aktorstwie wypowiadała się w takim dosyć szerokim przedziale, tak od potępienia do niewielkiego uznania. Przynajmniej ja odnosiłem takie wrażenie podczas naszych rozmów.

– Wiesz, jeśli ty byś nosił arystokratyczne, duże nazwisko, to by ci na pewno było łatwiej z literaturą... a gdybyś miał tytuł barona, taki jaki ja miałam przez kilkadziesiąt lat, to byłoby ci jeszcze łatwiej... gdyby Max von Sydow miał za matkę bufetową z kawiarni, a za ojca księgowego jak ty, to nie jest pewne, że on byłby takim uznanym artystą, jakim jest... jego gra jest taka, jak i on sam, czyli albo zimna, albo chłodna, ale reżyserom tak naprawdę to chodziło i chodzi głównie o to, żeby on pojawił się w filmie... jak nasze rodziny nie były w przyjaźni, to on mi często pyskował na ulicy, mimo że byłam sporo starsza od niego... on z woli ojca miał być kimś ważnym i próbował w sporcie, trochę w muzyce, chciał grać dobrze w szachy, ale to nie szło mu najlepiej i został aktorem, jednak mi się wydaje, że te jego role są wszystkie podobne do siebie i tam jest mało żaru a przeważnie widać jego zimne oczy.

Jak ona to mówiła, to ja nie wiedziałem, czy mam zaprzeczać, czy jej przytakiwać.

Zenon Przybyszewski był przez jakiś czas pracownikiem Ambasady Szwecji w Berlinie. Jeździł wtedy kilkakrotnie do Polski. Szczególnie znana jest jego podróż do Warszawy w czasie Zamachu Majowego Józefa Piłsudskiego, gdy podczas ostrzału miasta poszukiwał swojego ojca Stanisława Przybyszewskiego. W swoich czasach berlińskich omijał jednak Kalsk szerokim łukiem. Mimo że rodziny von Sydow, De Geer i baronowie Bennet były ze sobą... skoligacone. Co prawda były to pokrewieństwa odległe, ale były. I rodziny te były powiązane interesami poprzez prowadzone w szerokim zakresie operacje finansowe. Po wydarzeniach sztokholmskich, gdy wiele lat później pełnił funkcję ambasadora Królestwa Szwecji w Szwajcarii, to w drodze do domu zajeżdżał do Kalska i korzystał z gościnności Karla von Sydow.

Niebo zaciągnęło się takimi ciemnymi, nisko zawieszonymi chmurami i zaczęła zapadać mokra, deszczowa noc. Iwa baronowa Bennet mówiła, że bała się wieczorami chodzić po parku rozciągającym się za pałacem w Kalsku, bo przypominała się jej wtedy twarz Hjalmara von Sydow, którego kilka razy spotykała w Lund. Tym bardziej widywała w mroku jego czarną twarz, bo pamięć o nim w ich gimnazjum Katedralskolan była bardzo silna. Zresztą do tego znanego gimnazjum w Lund chodził również i Zenon Przybyszewski.

Popatrzyłem na park. Był taki ciemny, rozmokły, jak duży obraz malowany wodnistymi akwarelami. Drzewa szumiały sennie i lekko poruszały się gałęzie z resztkami żółkłych liści. Zaczynał też nasilać się drobny, jesienny deszcz. Ani twarzy Hjalmara ani Fredrika von Sydow nie było widać. Jakieś postacie przebiegały pomiędzy drzewami. Żarzyły się papierosowe ogniki. I słychać było wesoły śmiech chłopców i popiskiwanie dziewczyn.

Podszedłem pod kościół. Wzdłuż jednej ściany stały rusztowania. Przy ogrodzeniu betoniarka i dwie taczki. Popatrzyłem w jego ciemne okna. Od czasu do czasu odbijały się w nich światła przejeżdżających drogą samochodów. A potem zaraz przyoblekały się na powrót tymi ciemnymi barwami ze ściekającymi w dół kroplami deszczu. Twarzy aktora Maxa von Sydow nie było widać. Z innymi członkami tej rodziny było podobnie.

Podeszli ci z parku. Trzech chłopaków i dwie dziewczyny.

– Wiecie kto to Max von Sydow?

Oni stanęli i zaczęli patrzeć na mnie. Jeden z chłopaków rzucił na ziemię niedopałek papierosa wyciągniętego z ust i przytaknął głową.

– Wiem... to aktor, nauczycielka nam w szkole kiedyś o nim mówiła.

Dziewczyny popatrzyły na mówiącego. On zaczesał do tyłu opadające mu na czoło włosy i dodał. Tak bardziej w ich stronę niż swoją.

– Taki chudy i stary, grał w jakimś polskim filmie... był tu kiedyś podobno.

Jedna z dziewczyn skrzywiła trochę usta. Druga poruszyła lekko dłoń. Wyglądało jednak na to, że nie bardzo mogły skojarzyć nazwisko z postacią. Najwyższy z nich zaczął iść w stronę dawnych zabudowań folwarcznych. Odszedł kilkanaście kroków, a później odwrócił się i kiwnął na pozostałych głową. Oni zaczęli iść za nim.

Park wyglądał coraz groźniej. W żadnym oknie pałacu nie paliło się światło. Ulica była pusta. Zbliżała się powoli północ i w wielu domach wygaszone już były światła.

Wszedłem do parku. Po mokrych pniach prześlizgiwały się dalekie światła przejeżdżających drogą samochodów. O ile dobrze dojrzałem, to na ławce pod rozrosłym dębem siedział Max von Sydow. Wpatrywał się intensywnie w szachownicę i od czasu do czasu przestawiał jakąś figurę lub posuwał pionka. W młodości sam grałem w szachy, więc przystanąłem. W cieniu rozrosłych drzew było jednak tak ciemno, że nie mogłem dojrzeć czy pionki i figury są czarne czy białe. Nie mogłem też rozpoznać twarzy tej drugiej osoby grającej z nim w szachy. Oni zajęci grą w ogóle nie zwracali na mnie uwagi. Nie chciałem im przeszkadzać, więc po kwadransie lub dwóch, cicho wyszedłem z parku.

Brzegiem ulicy zacząłem iść w stronę parkingu, na którym zostawiłem samochód. Nisko zawieszone granatowe chmury pogłębiały z każdą chwilą i tak już ciemną noc. A zimny deszcz padał jakby coraz większymi kroplami.

Jerzy Marciniak

Piotr Müldner-Nieckowski

Jak Mietkowi nic się nie stało

Drewniany balkon runął w dół, drabina odpadła, a Mietek zamajtał tylko nogami, próbując odepchnąć się od powietrza. I udało się. Zawisł na jednej ręce. Zakrzywionymi palcami chwycił za brzeg muru poniżej futryny.

Mur, to za dużo powiedziane. W tym miejscu przed laty murarze zamiast cegieł nałożyli tynku dla niepoznaki. Były czasy, że jak nie było drewna, to się dawało papier, a jak żelaza, to drewno. Teraz to się mogło skrupić na Mietku. Pierwszy kruchy kawałek odpadł od razu wraz z ręką, a zatem z całym Mietkiem, ale on zdążył drugą złapać za występ pod oknem.

Podciągnął się i teraz już wisiał na obu. Szyby były zakurzone, jak to w naszej łazience, ale i tak zobaczyłem, że Mietek na środku głowy jest całkiem łysy. Nie wiedziałem. To zrobiło na mnie wrażenie. Był wyższy, zawsze patrzył z góry, i dopiero dzisiaj, kiedy ja znalazłem się na tym padole wyżej od niego, mogłem się przekonać, kto tu jest naprawdę mężczyzną. Zawsze mi się wydawało, że facet o tak miękkim uścisku dłoni musi być kobietą i przez to z lekka uduchowiony.

Po chwili zrobiłem mocną linę z prześcieradła, które suszyło się nad wanną. Palce Mietka szczerwieniał. To dobrze, krew jeszcze dochodziła. Z emocji sięgnąłem po papierosa, przypaliłem od płomyczka w gazowym piecyku do ciepłej wody, a po pierwszym sztachu poczułem się na tyle lepiej, że mogłem wrócić do okna. Na szczęście wisiał dalej. Już się przyzwyczaił do tej pozycji, bo zaczął coś mamrotać, pokrzykiwać, stękać. Okno było szczelne, a on cały czas patrzył na ziemię, więc nie słysząc wrzasku i nie widząc jego ust, nie mogłem zrozumieć, o co mu chodzi. Jak człowiek znajduje się w takiej sytuacji, to jasne, że musi mu być niewygodnie. Pewnie zlorzeczył.

Było dość wysoko, jakieś dwa piętra. Gdyby spadł, to albo na chodnik, a wtedy by się rozpląszczył jak naleśnik, albo na drewniany płotek, którego sterczące kolki przebiłyby brzuch, piersi i szyję. Mógł też zlecieć na pozostałość spróchniałego balkonu. W najlepszym razie z Mieczysława

zostałyby dwie części: górna i dolna, albo lewa i prawa. Można było się obawiać, że ktoś wyjdzie z klatki schodowej właśnie w czasie spadania, wówczas pogniotłyby się dwie osoby, jak samochody wskutek zderzenia czolowego.

Zrobiło mi się niedobrze. Zawsze bałem się przestrzeni, jeszcze bardziej niż zamknięcia, jak swetra, którego nie da się zdjąć przez głowę. Przemogłem się i otworzyłem lufcik, który na nieszczęście znajdował się u góry okna, a nie na dole. Nietypowa ta nasza kamienica. Teraz jego głos nareszcie zaczął do mnie docierać przez ten otwarty lufcik. Jednak krzyczał. Nie mówił niczego konkretnego, ale ryczał jak zarzynany. A zdawało mi się, że powinien coś spokojnie powiedzieć, w końcu to on znajdował się w położeniu godnym pożałowania, nikt inny. Jak się mówi z namaszczeniem, to wszystko staje się jasne. Zrozumiałem, że jeśli będzie tak dłużej bezładnie skowyczał, to straci siły i ręce mu nie wytrzymają, tym bardziej że palce zrobiły się już białe, a właściwie szare. Wtapiały się w tynk.

Wysunąłem zwinięte prześcieradło, ale że lufcik był wysoko, nie dosięgło nawet jego łysiny. Próbowal jakimś nadludzkim wysiłkiem poderwać się do góry, żeby złapać za koniuszek materiału, ale nic z tego nie wyszło. Pomyślałem, że trzeba lufcik zamknąć i próbować otworzyć okno. Jakoż po chwili z wielkim trudem odmykałem klamki, które opierały się, jakby wrosły w drewno okiennej ramy. Bo też od wielu lat w łazience nikt okna nie otwierał, żeby gapie z ulicy nie patrzyły, jak tu się myje zęby. Zardzewiałe zameczki zapiekły się, ale naparłem całym ciałem i w końcu zapiszczały, zgrzytnęły. Ostrożnie uchyliłem okno tylko po to, żeby je natychmiast zamknąć. Otwierało się na zewnątrz i o mało nie rozharatałem Mieciowi nosa. Boże, z trudem łapałem oddech.

Zachęcony moimi rękoczynami, zaczął walić głową w szybę. Robił to bardzo przemyślnie. Podciągał się na rękach, odbijał nogami od ściany i lup! czolem przed siebie. A szkło nic. Twarde jak skała. Pomyślałem: Mieciu, jeszcze raz, spróbuj, może się uda! I spróbował. Raz, drugi, trzeci. Niestety, bez skutku. Po uderzeniach zostały tylko przejaśnienia na szarej skorupie, która narastała na szkłe łatami.

No, cóż. Miałem tylko tę nadzieję, że Mieczysław wpadnie na jakiś inny pomysł. Czasu było coraz mniej, energia biedaka wyczerpywała się w postępie geometrycznym, co widać było po nabrzmiałych żyłach na jego szyi. Tak się szarpał, rzucał, dbając przy tym, żeby nie oderwać się od ściany, że aż mu pękł drelichowy kombinezon na plecach. Siłę to chłopak miał nie lada.

Nie na długo, jak wspomniałem. Palce zrobiły się już sine, widziałem to doskonale. Wczepiłem się w ramę okna i patrzyłem Mietkowi prosto w oczy, żeby go wesprzeć. W końcu miał tylko mnie jednego. Matka mu umarła, żona odeszła, dzieci nie było, golec po prostu. Zacząłem ze złości biegać po łazience, zapomniałem nawet o lęku przestrzeni i podbiegałem do okna, coraz śmielej patrząc w otchłań ulicy. Miotalem się jak tygrys w klatce. Myślałem, że zwariuję. Z kranu kapiała woda, jak zwykle, ale teraz doprowadzała mnie to do szału, więc dopadłem umywalki i obiema rękami starałem się dokręcić to złośliwe urządzenie, aż przekręciłem. Chlusnął tak silny strumień, że zamoczyłem spodnie.

Wtedy zauważyłem, że Mietka nie ma. Rzuciłem się do okna. Nic. Był poza zasięgiem wzroku. Ulica pusta choć okiem wykol! Popędziłem więc schodami na dół, na klatkę, z klatki przez bramę i, spodziewając się krwawej plamy, zamknąłem oczy. Dlatego padłem jak długi, potykając się o miękkie ciało człowieka.

To był właśnie Mietek. Leżał bez ruchu, ale jeszcze tylko przez chwilę. Nagle wstał, odepchnął mnie, otrzepał się i kuśtykając podszedł do drabiny, która spadła wraz z balkonem. Kopnął ją ze złością. Spojrzał ku górze i skrzywił się w bolesnym uśmiechu. Biało-czerwona chorągiew, którą zatknął do wystającej ze ściany rury, była na swoim miejscu. Wiatr łopotał jej sympatycznym, płóciennym skrzydłem. Jedenasty listopada, święto niepodległości Polski. Uniosłem rękę i wysunąłem dwa rozwarte palce do góry, na znak wiktorii. To my, to my zatknęliśmy nasz symbol. Na pohybel komunizmowi!

Poklepałem kolegę po ramieniu. Mojego najlepszego przyjaciela. Dumny prostował szyję.

– Ty mnie nie klep – wystękał – bo zламаłem nogę. Złatw jakiegoś chirurga – dodał i bez sensu upadł, stracił przytomność. W takiej chwili, kiedy wszystko zaczęło się układać!

Nigdy go później nie zapytałem, dlaczego tak wtedy nagle się załamał i przewrócił, twarzą wałną o płytę chodnika, mimo że już całkiem dobrze chodził. A gdyby tak, powiedzmy, z radości, to co – nie wolno? – powiedziałby lakonicznie, jak to on. Tak, tak, Mietek nigdy za dużo nie mówił. Trzymał w sobie.

Przez ten beznadziejny incydent wszystko diabli wzięli. Planowane widowisko, kurde, szlag trafiał. Planowaliśmy przecież, że zaraz po powieszeniu chorągwi przejdziemy na drugą stronę ulicy, schowamy się w bramie

i popalając papieroska, będziemy patrzeć, jak zdezorientowana milicja-zgnilicja z niedorozwiniętymi ORMO-dupcami wysilają się, żeby zdjąć tę flagę. Za naszych szkolnych czasów, krzyknęlibyśmy do nich: „E, wy tam, wysilek – od kostek do żylek!”, ale teraz były czasy poważne i dorosłe. No, to miała być pieprzona godzina policyjna, martial law, a ci pewnie z kałasznikowamy, pistoletamy, więc może byśmy na wsakij pażarnyj sluczaj trzymali język na wodzy, ale ale ale pomyślelibyśmy na pewno: męczcie się, wy odbytnicy przez-rurę-puszczeni, z naszą flagą! Każdy ORMO-wiec to odbytnik.

Mieliśmy więc sobie obserwować, jak przyjeżdża władza, a z nią straż pożarna z wozem drabiniastym; jak strażacy wdrapują się w kierunku rury i zrzucają flagę na asfalt, a prokuratorzy, wyskoczywszy z małej milicyjnej suki z niebieskim pasem wzdłuż karoserii, cuchnącej benzyną ołowiową, wylawiają z budynku mieszkańców iciągają ich na przesłuchania, żeby zidentyfikować sabotażystów. Za takie coś można było wylądować w pudle. To nie żarty dla grzejtylków.

Niestety. Popsul Mietek całą akcję. Najpierw zgubił drabinę pod nogami, potem się połamał... Katastrofa. Musiałem biec na pocztę i wzywać pogotowie ratunkowe, jechać z nim do szpitala na gipsowanie tej zakichanej nogi, szukać taksówki, potem taksówką szukać apteki, żeby nabyć pigułki przeciwbólowe, po drodze wypić po dwa piwa. Koniec świata.

Kiedy wieczorem wróciliśmy do domu, chorągwi na ścianie już nie było. Żaden sąsiad nie umiał powiedzieć, dlaczego. Wszyscy przegapili.

Ale po trzech dniach nas to już nie obchodziło. Przeszłość została w tyle. Wieczorami, które nadchodziły coraz szybciej, aż do wigilii Bożego Narodzenia siadywaliśmy przy herbatce i układaliśmy następne plany.

W styczniu znaleźmy je na pamięć: następnym razem wytniemy taki numer, że milicja i komitety zwariują.

No i się stało.

W maju, trzeciego, w dniu Konstytucji cała Warszawa przychodziła pod pomnik Feliksa Dzierżyńskiego, żeby zobaczyć, jak ktoś bez używania drabiny pomalował mu ręce na czerwono. To my, ja i Mietek, całkiem za darmo, bezstresowo i anonimowo.

Piotr Müldner-Nieckowski

* Jest to pierwotna, dłuższa wersja napisanego w stanie wojennym w 1982 r. opowiadania, które ukazało się w tomie: Piotr Müldner, *Raz jeden jedyny, 53 opowiadania z niustannego stanu m.*, OW Volumen, Warszawa 2007.

Wiesława Oramus

Spokój

Najczęściej widzi się ich na laweczce, wymoszczonej, ustawionej w najbardziej nasłonecznionej części ogrodu, czasami siedzą w fotelach, przy malutkim stolyczku albo na prostych drewnianych krzesłach, przy stole w rustykalnym stylu. W niezwyklej bliskości bzów, magnolii i róż.

To taki bardzo intymny, prywatny zakątek, bez możliwości wtargnięcia tam obcych. Nie ma żadnej furtki w okalającym posiadłość płocie, wchodzi się tam wprost z salonu na parterze.

Dla obcych jest jak wszędzie brama, schodki prowadzące do werandy. Ta jednak też otwierana tylko dla niektórych. Tylko niektórzy idą do końca między wazami w stylu greckim, ustawionymi szpalerowo, wypełnionymi nieśmiertelnikami i sezonowymi kwiatkami: bratkami, anemonami, astringami, chryzantemami. Większość przybyszy kierowana jest na lewo, do małej przybudówki, prawie niewidocznej w kłębowisku tamaryszku, iglaków, dzikich czarnych bzów i jarzębin. Oni też rzadko widzą wnętrze domu; tak jak i przechodnie. Może mignąć przed oczami ciepły brąz podłóg, miodowe ramy okien, róg stołu, fragment zaslon, z jakimś wzorem, zaslon, wazonu z bukietem na wielkim stole nakrytym pięknym obrusem. Bo nawet uchylenie drzwi werandy odsłania nasłonecznione wnętrze.

Pani kocha kwiaty. Pani kocha kwiaty w wazonach, na zaslonach, obrusach. Sama tworzy powoli, systematycznie ten kwiatowy raj. A jedną jego część, z prawej strony, można czasami podziwiać z ulicy.

Tam pani, najczęściej w powiewnej, kwiecistej sukni obsługuje pana, czasami nielicznych gości. Panu wiatr rozwiewa siwą czuprynę, pani sukienkę. Pani nalewa kawę do filiżanek, przysuwa talerzyk z ciasteczkami. Pani zachowała żwawość, zwinność i filigranowość figury. Pan spowolniał trochę, mocny pozostał tylko głos.

Mieszają, łyżeczki pobrzękują, zapach kawy unosi się w powietrzu, dochodzi do nozdrzy spacerowiczów. Ich obraz już mniej, jak barwna plama poszatkowana przez gałęzie krzewów, glacyunii, rododendronów.

Jest to taki trochę mozaikowy, kalejdoskopowy obrazek, bo pani zmienia często suknie, wypełnia nimi kolory wolnej przestrzeni między gałęziami, liśćmi, kwiatami, pąkami.

Zapachy czasami też się zmieniają. Miły jest zapach gorącej czekolady, świeżych wypieków, jakże różnorodnych.

Pani zresztą lubi powtarzać, chociaż dobre zawody i posady mieli zawsze, że – „ubrać się ładnie, dobre jedzonko przygotować, a nie... coś tam wyczyniać”...

I temu gwiazdy sprzyjały. To inni popadali w przesadę; z poglądami, zasadami, odwagą, szczerością, zuchwałością. To inni popadali w długi, sprzedawali za pół darmo działki, ogrody, srebra i porcelanę, uciekali, też czegoś się wcześniej pozbywali, szybko, za przysłowiowy grosz, albo na śmietniskach zostawiali, z braku innego wyjścia.

Takich trzeba umieć wyszukiwać; jak świeży towar na targowisku, być blisko nierozwagi, hazardu, chorób z zaniedbań, bezradności opuszczonych, poddania się zaszczutych, rezygnacji bez powodu.

Wielkość i rozmiar tych ludzkich słabości się nie liczył, zamieniał się w równość cegiełek pod budowę, równość płytek chodnikowych, sztachetek. I różnorodność porcelany, fajansów, sreber w kredensach, komodach, różnorodność roślinności w ogrodzie.

Czasami ta żwawość ruchów, spryt palców, czasami powolność, zółwie tempo, przyczajenie były pomocne.

A ogólnie melanz tego. I niepamięć czegoś... I pamięć tego, co teraz... Tego ciepłego letniego popołudnia. Co dzień, przez całe dekady, całe wspólne życie marzeń i planów.

Coraz bardziej we dwoje, coraz bardziej podziwiani przez pogubionych, nierozważnych, w przeszłości zlej zatopionych, za daleko w przyszłość patrzących, rozchwianych, zbyt abstrakcyjnie myślących, pogrążonych w jakichś teoriach, czy przyziemnym pospiechu i zachłanności zakleszczonych, tak coraz bardziej stawali się ostoją dla nich, punktem pewnym na oceanie niepewności kolejnej epoki, stając się następną warstwą do budowania dalej, do zamienienia snów w rzeczywistość pana i pani tworzoną... dla następnych. Bo zawsze, w ostatniej chwili, nawet poprzez pamięć innych jakiś nieszczęśnik trafiał do nich, bo nierozwagę, pecha, jak i choroby się dziedziczy i przemiany epok nic nie zmieniają w tym niespokojnym zawsze zakatku świata.

I tylko coraz trudniej podejmować najbliższych w tej oazie spokoju na oceanie niespokojności, bo ten ogród jest po prostu za mały. Wszyscy widzieli, wiedzieli, przyjęli to do wiadomości. Widzą to też wszyscy. Ktoś, kiedyś zbyt późno próbując ratować życie, sprzedał im tylko połowę swojego ogrodu na parcelę. Pomogli mu, szybko znaleźli pieniądze. Jak zawsze.

To było takie... ludzkie, takie ciepłe uczucia wzbudzające, sympatię... jak dla każdego popełniającego życiowe błędy nie do naprawienia.

I to dlatego pan siedzi tu, przy stoliczku, pani nalewa kawę, czekoladę lub herbatę... pośród maków, hortensji, ślicznych, jak malunki na ich prześlicznych filiżankach.

Coraz częściej patrzą na zapuszczony ogród za ich płotem; dziczejący, jeszcze nadaremnie dotąd czekający na kupca mimo ciągle obniżanych cen. Ale jazda w dół trwa, młode pokolenia czasami coś dziedziczą.

Spokój się liczy.

Koniec

Wiesława Oramus

Maciej Parowski

Rozmowa 2014

*(fragment *)*

To służby wykonały pierwszy krok. Najwyraźniej ogień przemian podszedł do ich foteli, poczuli gorąco od dołu, a to jest bardzo stymulujące dla myślenia o przyszłości. Tak w każdym razie Hofman referuje sprawę szefowi.

Zapowiedział się generał z jednym pomagierem niższej szarży na dyskrecyjną, perspektywiczną rozmowę. Rzecz jasna mają wymagania. Gabinet prezesa i sekretariat należy odpluskwić, sekretariat dodatkowo wyludnić. Goście nie zasłonią twarzy maskami, nie te czasy, ale pospólstwo nie powinno się im przyglądać.

– Jeśli chodzi o oznaki postępu znaczący jest już fakt, że sami ruszyli dupska, zamiast porywać ludzi i w kajdankach dowozić ich na rozmowy do siebie na sygnale – zauważa prezes.

– No tak, no tak – sumituje się Hofman. – A wracając do kwestii odpluskwiania, to odmówiłem dostępu do naszych pomieszczeń ich ekipom technicznym.

Prezes nawet tego nie komentuje.

Teraz generał i asystent w randze majora, obaj w cywilu, rozglądają się bacznie po ścianach i wysokim suficie sekretariatu w poszukiwaniu oczek kamer i sitek mikrofonów kierunkowych. Hofman osobiście na oczach gości opuszcza wąż zasilania systemu alarmowego i jeden Bóg wie, czego jeszcze. Komputery dziewczyn są wyłączone, ich obrotowe fotele – puste. Żaluzje okienne zostały zasłonięte, w sekretariacie panuje miły chłód. Generał wskazał majorowi miejsce przy Hofmanie, a sam z wyciągniętą na powitanie dłonią przekroczył próg gabinetu prezesa i szybko zamknął im drzwi przed nosem.

– No i tak to mniej więcej wygląda – mówi major. – Jeśli pan wie, co chcę powiedzieć.

– Właściwie nie bardzo – szczerze wyznaje Hofman.

Major bez słowa bzyknął zamkiem błyskawicznym swojej dyplomatką i wyciągnął metalowy przedmiot wielkością i kształtem przypominający filiżankę. Zwisaly odeń dwa kabelki zakończone słuchaweczkami. Major skinął na Hofmana, wręczył mu słuchawkę, drugą włożył sobie do ucha, a filiżankę przycisnął do zamkniętych drzwi.

– Bez zbędnych wstępów, panie prezesie – mówi generał za drzwiami. – Kto ma oczy do patrzenia, a uszy do słuchania ten rozumie, co się dzieje. I w tej sytuacji, ja i moi koledzy, czując odpowiedzialność za przemiany, które wkrótce ogarną nasz kraj, nasz system polityczny, pragniemy się uwiarygodnić, przed panem, jako osobą, która odegra główną rolę w tym, w tych wydarzeniach.

– My to znaczy kto, ABW, CBA, BWA, CBS, Wywiad, Policja – pyta prezes, a podsłuchujący major puszcza oko do Hofmana.

– Różne nazwy – mówi generał za drzwiami – a wszystko to samo.

– Była podobna kwestia u Hitchcocka – wyrывa się Hofmanowi. – Ale zapomniałem tytułu.

– „Północ, Północy Zachód” – dopowiada szeptem major i pokazuje gospodarzowi na migi, żeby reagował ciszej.

– Na czym miałyby polegać takie uwiarygodnienie? – pyta prezes.

Słychać zgrzyt odsuwanego od biurka fotela. To znaczy dwu foteli.

– Jesteśmy gotowi spełnić praktycznie każde pańskie życzenie.

– Może pan generał coś proponuje, nie znam waszych możliwości. Ani determinacji.

– Myśleliśmy o akcie, który dowiódłby naszej mocy, naszego zakorzenienia – wdycha ciężko generał. – Naszej niezbywalności.

– To znaczy?

– Moglibyśmy dać na to... – cedzi z wahaniem. – Powiedzmy, że doprowadzimy do stanu nieużywalności któryś z mostów na Wiśle. Eksplozja albo pożar...

– Sprawdza mnie pan czy prowokuje?

– To tylko przykład. Moglibyśmy też wykoleić Pendolino. Albo znów wysadzić rotundę...

– Kurwa, kurwa, kurwa – syczy major z drugiej strony drzwi i teraz to Hofman skutecznie go ucisza.

– W takim razie proszę o inne przykłady – naciska prezes.

– Możemy obrzydzić politykę pana przeciwnikom... Wyciek kompromitujących zdjęć, nieoczekiwane nagranie. Nawet przykry wypadek... Nie

śmiertelny – zastrzega generał pospiesznie, co nie przeszkadza Hofmanowi wyobrażać sobie zgorzzonej miny szefa.

– Lepiej odsuńmy się od drzwi, tu będzie zaraz szybki wypad – ostrzega majora. – Prezes ma giberę w szufladzie.

– Dla mnie to jeszcze trochę za mało – mówi major i silniej przyciska do drzwi metalowy gadżet. – Pozwólmy się chujowi wygadać.

– Wyobrażałem sobie uwiarygodnienie innego rodzaju, dowodzące faktycznych wpływów i prawdziwego rozeznania.

– Proszę zażądać niemożliwego, nasza moc jest naprawdę duża – łasi się generał. – Ogranicza mnie tylko uformowana jeszcze w Peerelu wyobraźnia. Człowiek nie wybiera sobie daty urodzin.

– Faktycznie. A co by pan generał powiedział na taki koncept: w ciągu miesiąca ujawnianie dziesięciu, nie, dwudziestu aktywnych szpiegów rosyjskich i doprowadzanie do ich wydalenia – powoli, jakby myślał na głos, mówi prezes. – To znaczy piątkę najwredniejszych można by osądzić i zatrzymać w naszych więzieniach – dodaje szybko.

Rozlega się coś na kształt jęku, marnie przenoszonego przez filiżankę, kabelki i słuchawki... Ale major z Hofmanem i tak wyrabiają sobie właściwie wyobrażenie o jego skali.

– Oooooj to trudne zadanie... Jeden, może dwu... Koniecznie rosyjskich?

– Nie śmiałbym urazić pana generała wyzwaniem mniej ambitnym.

Ciężki oddech generała jest teraz nawet lepiej słyszalny niż wcześniejsze jęki.

– A co pan prezes powie na piątkę? – wykrztusza w końcu. – Dwu Francuzów, dwu Anglików i jeden Izraelita...

– Nie taka były ustalenia – krzyczy major, odrywa filiżankę od drzwi i szarpie kabelkami. Słuchawki znów dyndają w powietrzu. – Nie takie umowy.

Hofman łapie się za ucho, trochę go zabolalo, zaś major naciska klamkę.

– Drzwi! A ty tu, czego! – wrzeszczy generał. – Nie widzisz, że jeszcze rozmawiamy?

To są jego ostatnie słowa. W każdym razie w tym pomieszczeniu. Dostaje stopą w skroń z półobrotu i, gdy już leży, dodatkowo klasycznego polskiego kopa w brzuch. Nie krztusi się, niewykluczone, że przestał oddychać, w każdym razie na chwilę, może na zawsze. Hofman patrzy bezradnie. Prezes przeciwnie, nie wygląda na zaskoczonego.

– Człowieku, nie gap się – mówi major, chwyta generała pod pachy. – Pomóż mi do cholery. – Hofmanowi zostają nogi. Wspólnie ciągną generała ku schodom, potem w windzie i na zewnątrz nadają mu pozycję pionową, by niczym pijanego wepchnąć go na tył czarnego Suva. Ten błyskawicznie odjeżdża.

– Gdyby wiedział, co go czeka, nie zarządzałby wyczyszczenia sekretariatu ze świadków i nie kompromitowałby się tak debilnie – myśli na głos Hofman.

– Tylko, że to były moje dyspozycje i moje ustalenia, nie jego – uśmiecha się major. – Wracam do pana prezesa, proszę nie wpuszczać nikogo.

– Rozumiem – mówi Hofman, a jego myśli biegną ku kabelkom i metalowej filizance.

Maciej Parowski

* Fragment ślapstickowej powieści „Przekaz dnia”.

Krzysztof Rudziński

Rzecz prosta

Oto jest studium szczegółu rzeczy, którego istotę dostrzegłem po raz pierwszy, uczęszczając do grupy tak zwanych *starszaków* w jednym z warszawskich przedszkoli.

I ja również jak inne dzieci używałem tej rzeczy, nie rozumiejąc jej początkowo co do istoty. Lecz nie o tym tu chciałem mówić, gdyż nie jest to studium dotyczące wyłącznie istoty, ale właśnie rzeczy, i to rzeczy nad wyraz prostej. Rzecz w tym, by biorąc się do rzeczy tak prostej, i to w dodatku delikatnej natury, już od samego początku wątku nie zepsuć.

Widywałem ją już wcześniej, i to niejednokrotnie, ale jakoś nie zwracałem na nią szczególniejszej uwagi. Może dlatego, że była to rzecz pospolita i powszechnego użytku, rzecz można, najzwyczajniejsza w świecie rzeczy. Przedmiot materialny nad wyraz banalny i tani, trudno by go było zaliczyć do cennego dobytku czy mienia, a jeśli do bagażu, to samą w sobie wagi nadzwyczaj lekkiej.

Zwykła znajomość rzeczy jako takiej była, prawdę mówiąc, powszednia i być może dlatego pobieżna. Rzecz ludzka i publiczna, dobro ogółu, i choć niejadalna, to mogąca budzić apetyt. Jako rzecz używana na ogół nie do przyjęcia, bo zbyt osobista i nazbyt własna.

Nikt, znający się na rzeczy, nie mógłby powiedzieć: „Nie twoja rzecz” – gdyż właśnie w tamtych czasach przedszkolnych była to rzecz codzienna. Zwyczajna a niezwykła, zwykła a niezwykła. Od pewnego czasu bardzo mnie zajmująca – ciekawa rzecz.

Gdy wzięło się ją do ręki, łatwo było rozpoznać, jak się rzecz ma, lub mówiąc w liczbie mnogiej, jak się rzeczy mają, ale już powiedzenie – jak one stoją, zaprowadzało w nader podejrzane i wątpliwe obszary rzeczy. Tak jak i to (co jako spostrzegawczemu starszakowi nie mogło ująć dłużej uwagi i była to rzecz naturalna), że rzecz była z natury rzeczy parzysta. I choć, *par excellence*, niebiorąca udziału w różnych formach parzenia się, to jednak do nich dwuznacznie wiodąca.

Dlatego, że nic z tych rzeczy nie mogło długo uchodzić chłopięcej uwagi, któregoś dnia zauważyłem w tej rzeczy pewną różnicę, porównując ją z moimi podobnymi rzeczami.

Była to zdawałoby się niewielka różnica i jako rzecz dodana w istocie rzeczy bardzo trafna, prosta i ujmująca, ale gdy spojrzeć wnikliwiej, istotnie zmieniająca jej postać – było to, jakby to powiedzieć, jej sedno – sedno rzeczy.

Zapytałem mamusi: co to jest? Odpowiedziała, że to jest szew, że to pończochy ze szwem.

Było to bardzo trudne słowo, dlatego pomyliłem się, próbując doprecyzować:

– Pończochy ze wszem? – wtedy wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Ja jednak byłem już wówczas w innym niebie – nagle olśniony, jakby podszeptem *sukkuba*, prawdziwą istotnością tego szczegółu rzeczy – celowością tego szwu, która nagle mi się objawiła.

Była to rzecz, zmieniająca postać rzeczy, prawdziwy jej środek wiodący i siła, i siłą rzeczy był to jej argument nie do odrzucenia i dowód rzeczowy – ten szew pośrodku. I była to rzecz wielka.

Rzecz w tym, że nie zawsze była pośrodku, a wtedy czyniła nogi pań krzywymi. Nie dało się na to patrzeć.

Ale gdy na zgrabnej nóżce napotykało się tę rzecz dobrze ułożoną, wiodącą prosto jak strzelił, wtedy widziało się w rzeczy samej celowość rzeczy, porażającą na odejściu, bardziej niż strzała partyjska.

A już obroty rzeczy potrafiły przyprawić o zawrót głowy.

Byłem mały i posuwając się koleją rzeczy, nazywając ją po imieniu, nie miałem już wątpliwości, że trzeba spojrzeć wyżej.

– Nie znałem jeszcze wieszca i sam musiałem dojrzeć gdzie wzrok nie sięga, przychyliwszy się do poglądu i wnikając dalej. Czulem, jak ta linia postępowania zbliżała do rzeczy i posuwając się biegiem rzeczy, nabierała blasku, a idąc po linii zainteresowania, wiodła ku rzeczom wyższym. Dotykając sedna argumentu utwierdzałem się w niedającym się ukryć i nagle głęboko ujęty poczułem, do czego jest zdolna rzecz w samej rzeczy tak prosta.

– Wiem, wiem, rozmarzyłem się, niebezpiecznie wspinając się od rzeczy, jak na starszaka.

– Wszystkiemu winien ten wesz – w samej rzeczy – rzecz prosta.

ks. Jan Sochoń

Rana miłości

(fragment)*

Otoczone ze wszystkich stron pasmami lasu, przebite na wylot srebrnym klinem rzeki Supraśl, rozdzielone na dwie połowy: tę z wieżą katolickiego kościoła, i tę z cebulą cerkiewną, trwało nieporuszone, jakby pory roku w ogóle nie istniały. I chociaż odgłosy wojny słyszało się w miasteczku nieprzerwanie, nocą i dniem, ludzie żyli swoim ustalonym rytmem, niezbyt podatnym na światowe okoliczności. „Wojna to wojna, mówiono na rynku, nie ma co załamywać rąk. Trzeba się przyzwyczaić. Jedni i drudzy są siebie warci, Sowieci i Niemcy; należy ich przegonić, jak bażanty, ukryte w przydrożnych krzakach. Tylko kto to zrobi?” Rzeczywiście, nie było nikogo. Większość mężczyzn tułała się po różnych frontach; jedni kryli się w leśnych zastępach, organizując dywersyjne wypadki pod egidą Armii Krajowej, innych wywieziono na Sybir, jeszcze inni znaleźli się w hitlerowskich obozach. Tuż po zmroku, ulice Wasilkowa przypominały leje wypełnione mgłą, gdzieniegdzie tylko oświetlone mętną luną z okien. Nikt nie wychodził na zewnątrz, bojąc się, że napotka kogoś, komu zależy tylko i wyłącznie na własnym bezpieczeństwie, i kto zabije, bez najmniejszych skrupułów.

W najgorszej sytuacji znajdowali się Żydzi, których Niemcy zamknęli w getcie, umiejscowionym między Rynkiem a ulicami Białostocką i Wojtachowską, otoczonym wysokim drewnianym płotem i drutem kolczastym. Każdy z nich nosił na swoich ubraniach widoczną z daleka gwiazdę Dawida; był stygmatyzowany tym znakiem, z góry skazany na męczarnie i śmierć. Franciszka widywała, jak pędzono gromady owych nieszczęśników do budowy dróg albo na przyrzeczne pola, gdzie usuwali pnie i korzenie olch wyciętych jeszcze przed nastaniem wojny, po to, by na tak przygotowanym terenie można było sadzić konopie, z których Niemcy produkowali olej i worki, na potrzeby armii. Wspierała ich modlitwą, bo na innego rodzaju pomoc nie było żadnych szans. Nie mogła dostać się do getta, ani przemyścić tam choćby paczki z jedzeniem czy środkami czystości.

– O czym rozmyślasz? – spytała Teofila, kiedy usiadła przy niej na kuchennym taborecie, przyjmując wyczekującą postawę.

– Żal mi tych biedaków zamkniętych w getcie. Cóż oni zawinili, że tak muszą cierpieć. Często słyszałyśmy, pamiętasz, narzekania, że niweczą nasz polski handel, że panoszą się na nieswojej ziemi, ale przecież dobrze była nam z nimi, byliśmy sobie potrzebni, wzajemnie się szanowaliśmy, a teraz, zobacz, co się dzieje! Każde życie jest przecież cenne, niepowtarzalne, chciane przez Boga. Jak to możliwe, że jeden człowiek zabija drugiego człowieka, ot tak, w imię jakichś osobistych, złowieszczych racji? Co takiego tkwi w ludziach, że są zdolni do mordowania, zadawania ran, ośmieszania? Dlaczego jedne narody dążą do wyniszczenia innych narodów? Czy my, Teofilo, jesteśmy w stanie żyć w tak strasznym świecie?

– Zostaliśmy postawione w takim świecie, kochana, i z tego świata mamy wydobywać to, co najlepsze, co służy coraz większemu dobru. Bóg nie skrzela z niemieckich czy sowieckich karabinów, nie wyręcza nas w naszych trudzie; On, domyślam się, przygląda się naszym poczynaniom i sam nic nie może zrobić. Jako Jego dzieci powinniśmy wtulać się w ramiona, które ku nam wyciąga, ale sami decydujemy o tym. On nikogo do niczego nie zmusza.

– Sugerujesz, że Bóg cierpi z tego powodu, że my nie pozwalamy, aby Jego łaska w nas się rozwijała, roznosiła się na wszystkie strony?

– Właśnie tak sądzę, Franciszko. Sami jesteśmy odpowiedzialni za wszystko, co się w nas dzieje, i jak to tylko możliwe, starajmy się wpływać na wydarzenia, w których uczestniczymy. Choćbyśmy utrwaliły w ludziach tylko małą część dobra, będziemy szczęśliwe. I za tę szansę zawsze Bogu dziękujemy, zwłaszcza teraz, kiedy ogarnęła świat wojenna pożoga. Zostaliśmy same, tylko z twoim dzieckiem. Józef, twoja siostra, jej dzieci, co się z nimi dzieje? Nie mamy od nich żadnych wiadomości. Ale musimy żyć tak, jakby oni żyli, i tak, jakby wojny nie było, bo wojna nie zawiesza konieczności czynienia dobra. Pośród nas nie ma już Żyda, ani Polaka, ani Rosjanina; wszyscy jesteśmy sobie równi, i wszyscy potrzebujemy wzajemnej życzliwości i przebaczenia.

– Obawiam się, że to, co mówisz nie znajduje dzisiaj większego posłuchu. Ludzie za wszelką cenę chcą żyć i starają się wszystkimi możliwymi sposobami przetrwać. To jest rzeczą chyba naturalną. Nie ma powodów, żeby temu przeczyć. Chodzi tylko o to, by wiedzieć, że są jednak sprawy ważniejsze od życia, sprawy, których zlekceważenie wywołuje natychmia-

stowy odruch sumienia. Pamiętasz, jak sama mówiłaś, że niekiedy gryzło cię sumienie. Ono gryzie wtedy, kiedy osobiste marzenia stają się pierwszoplanowe i najważniejsze, a drugiego człowieka rozpoznajemy, jako przeszkodę na drodze do realizacji swych pragnień. Do tej pory, pochwałę ci się, udawało mi się unikać takiej sytuacji; oby tak było zawsze, ale czy tak będzie, doprawdy nie wiem.

– O, na pewno. Znam cię od dawien dawna. Jesteś, Franciszko, osobą szlachetną i niezwykle dobrą. Józef miał niesamowite szczęście, że przyłączyłaś się do niego; dałaś mu siłę, by mógł stawiać się coraz mężniejszy i pokorniejszy w życiu. Oceniam go, lecz robię to w dobrej wierze. On pewnie gdzieś teraz w Rosji walczy o przyszłość dla nas i naszej Ojczyzny. Powinniśmy się często modlić w jego intencji, żeby powrócił w zdrowiu, żeby po tak strasznych przejściach nie zatracił pasji życia. Warto, żebyśmy się nadal rozpytywały, może nadejdą jakieś wiadomości z Rosji, może ktoś usłyszy o nim i naszej Eugenii.

– Trzeba mieć nadzieję, zawsze trzeba ją mieć, inaczej nie przetrwamy tych dni, tej wojny, stwierdziła Franciszka i podniosła się, by poprawić żagwie w piecu. W blasku ognia wyglądała tajemniczo; jej niewyraźny cień migotał w odbiciu na ścianie, przypominał, że szybko przemija życie, i że liczy się tylko i wyłącznie dobro i miłość, wieczne, nieśmiertelne. Ale wojna stawiała wymagania. Nie zawsze potrafią im sprostać.

– Słyszałaś, nawiązała przerwana rozmowę Teofila, o pogromie, jaki bodaj rok temu urządzili nasi współmieszkańcy. Ty chcesz wspomagać Żydów, choć słyszałaś krzyki „Wasilków bez Żydów”, słyszałaś jęki bitych kijami, okrzęconymi żelaznymi kolcami, sznurami i sprężynami, których nasi rodacy spędzili nad rzekę i mordowali; widziałaś, jak w powietrzu fruwały rozdarte fotografie i puch z pierzyn, a Niemcy wszystko filmowali, by pokazać światu, że to oni stają w obronie Żydów. Jakżeż po czymś takim możemy spokojnie patrzeć sobie w oczy.

– Nie, nie, ja tego nie widziałam. Gdyby to było prawdą, leżałabym codziennie krzyżem na podłodze przed figurą Ukrzyżowanego. Błagałabym Go o przebaczenie i miłosierdzie; bałabym się wyjść na ulicę, ze wstydu i bólu. Rzeczywiście, synagoga została spalona, ale przez kogo i dlaczego, nikt na to nie potrafił odpowiedzieć. Mój mąż bywał w synagodze kilkakrotnie, miał przyjaciół wśród Żydów. Bożnica była piękna, aż oczy mrużyły się od złotem tkanych zasłon na szafach ołtarzowych, opatrzonych

cudownymi lambrekinami, od wielkiej ilości kobierców i makat, lichtarzy, srebrnych żyrandoli albo ośmioramiennych menor, które pobudzały wyobraźnię. Raz podejrzalam jej wnętrze w słoneczny dzień. Lecz o pogromach tutaj, u nas, nigdy nie słyszałam. Jeżeli mówiono o nich, to chyba tylko w gronie samych Żydów, którzy niekiedy przesadnie akcentują swoje cierpienia, swoją dziejową tułaczkę.

– W każdym razie powinniśmy wzmóc czujność. Niemcy nie tylko zawzięli się na Żydów, ale chcą wyniszczyć wszystkich mieszkańców naszych stron. Jesteśmy w oplakanych okolicznościach. Godzina policyjna, łapanie, wywózka na roboty do Niemiec, szkoła podstawowa zamknięta, szaro, zimno i strach. Oto, co nam pozostało. Dobrze, że na razie do kościoła możemy jeszcze chodzić.

– Brakuje mi tchu, Teofilo, muszę odpocząć.

– Dobrze, połóż się, ja będę przy Irence, aż zaśnie. Wtedy pójde do siebie, chciałabym jeszcze przed snem zająć się szyciem; wiesz, te ubrania chłopaków z lasu, które Antoni Bućko przyniósł kilka dni temu, są brudne, wyniszczone. Muszę je pozaszywać, polatać, doprowadzić do stanu wojskowej używalności.

– Tylko uważaj, nie pal zbyt długo lampy. Ktoś może donieść, powiadomić Niemców. Sprawdź, czy okna masz szczelnie zasłonięte. Bądźmy roztropne.

– Ależ, nie martw się Franciszko. Mam ustalony tryb działania konspiracyjnego. Mundury muszę przygotować, ponieważ partyzanci nalegają, a ich tajne dokumenty i maszynę do pisania ukryłam w naszej ziemiance. Nikt ich tam nie wykryje. Miejsce jest doskonale zabezpieczone. Nawet psy niczego nie wywęszą. Niemcy zresztą nie przypuszczają, że siostra zakonna może pracować w organizacji partyzanckiej.

– Oni nikogo nie oszczędzają, nie patrzą na krzyżyk zawieszony na twojej szyi; może taki znak jeszcze bardziej ich drażni, rozstrzeliwują każdego, kto im się nawinie pod rękę, niekiedy, ot, tak, dla śmiechu i zabawy. Nie mają tutaj wielu rozrywek, więc bawią się śmiercią, która w końcu i ich osiągnie. Na razie wydaje im się, że są nieśmiertelni w swej złowieszczej potędze. Chyba jeszcze nie wiedzą, że nie umkną Bożej sprawiedliwości.

– Tak to przypuszczalnie będzie, powinniśmy być jednak ostrożne i bez potrzeby nie narażać się na niebezpieczeństwo. Nie jesteśmy sami, opieki wymaga Irenka, a kto wie, ile jeszcze czasu potrwa wojna. Na razie Niemcy się panoszą, trąbią o swoich zwycięstwach nad Sowietami, wywożą

ludzi do obozów, do robót w Niemczech. Nie boją się nikogo i niczego, jakby cały świat miał należeć tylko do nich. Traktują nas, jak niewolników, jak mówiące narzędzia, które po zużyciu się wyrzuca na śmietnisko. Starsze dzieci naszych sąsiadów od dłuższego już czasu pracują przy wydobywaniu torfu, którego złoża znajdują się w starym dorzeczu Supraśli i Sokoldki. Bywałyśmy tam nieraz, w poszukiwaniu żyznej ziemi, potrzebnej w ogrodzie. W tej chwili nic lepszego nie mamy prawa czynić, jak tylko zachować godność i w miarę koniunktury własne istnienie, ponieważ żyjąc możemy pomagać innym, przeciwstawiać się złu, które panoszy się z zatrważającą wartością.

– No i musimy wspierać naszą leśną placówkę. Niemcy obawiają się partyzanckich ataków; jeżeli już zapuszczają się w głąb puszczy, to tylko w wielkiej sile, w znacznej kolumnie samochodów, najczęściej opancerzonych. Nie są więc pewni, dlatego trzeba tę ich niepewność wzmacniać, by tracili poczucie bezkarności.

– Właśnie o tym rozmawiałam ostatnio podczas tajnego zebrania naszej placówki nr osiemnaście ze starszym podchorążym Antonim. On dobitnie powtarzał, że Niemcy nie mogą tutaj czuć się spokojnie, powinni odczuwać oddech naszego zbiorowego oporu.

– Boję się jedynie, powiedziała Franciszka, że będzie coraz więcej akcji odwetowych ze strony Niemców. Kiedy partyzanci zabiją jakiegoś ich żołnierza, natychmiast rozpoczynają się łapanki, wywózki do Treblinki. Nie ma chyba dobrego wyjścia z tej sytuacji. Kiedy podejmujemy walkę, ryzyko jest ogromne. Możemy stracić życie. Ale tak musi być. Józef wojuje w dalekich stronach, więc i my tutaj róbmy to samo, na miarę swych możliwości. Nigdy nie byłam zwolenniczką jakiegokolwiek batalii wojennej, ale widzę, że bez niej się nie objedzie, jeżeli chcemy powrócić do zwyczajnego, dobrego i skromnego życia. A dobre życie wróci, jeżeli powrócą i Józef, i Eugenia z dziećmi. Nie ma co ukrywać; bez nich nie będziemy nigdy szczęśliwe, choćbyśmy nawet ocaliły własne życie. Oczywiście, samo życie jest cenne, może najcenniejsze ze wszystkiego, co od Boga otrzymaliśmy, ale bez nich, westchnęła cicho, nie potrafię wyobrazić sobie dalszych dni. Naprawdę, nie wyobrażam.

– Wiem o tym, moja droga; trzeba nam jednak będzie przyjąć Boże rozrządzenie, nawet jeżeli okaże się, że idzie ono w poprzek naszych oczekiwań i pragnień. Teraz nie myślmymy o tym, co nam nieprzychylnie, lecz o tym, jak mamy wspomagać naszych z Armii Krajowej. Byłam wczoraj tuż

przy bramie wjazdowej do getta, szłam od ulicy Kupieckiej i zauważyłam, że Niemcy zdwoili strażę, zachowują się nerwowo, wykrzykują, że z Żydami trzeba wreszcie skończyć na dobre. Przysłuchiwałam się, zwalniając krok, tym krzykom. Wygląda na to, że kilkunastu więźniom udało się uciec z getta. Nie wszystko zrozumiałam, bo nie mogłam ostantacyjnie przysłuchiwać się temu, o czym żołdacy rozmawiali, ale widziałam ich twarze, rozgniewane, wściekle, błyskające nienawiścią. Zauważyłam też, że szykują się do rozpoczęcia poszukiwań, by odnaleźć zbiegów, ale wątpię, żeby im się to udało. Nie znajdują w każdym razie sprzymierzeńców pośród nas. Przypuszczam, że uciekinierzy będą się ukrywali w lesie, tak długo, jak tylko się da. Niektórzy dołączą do partyzantki, a może znajdą schronienie w najbliższych wioskach. Nasz ksiądz proboszcz nie kryje się z tym, że im pomaga, że załatwia im lewe papiery, nie zważając na niebezpieczeństwa i przestrogi niektórych parafian. Powinniśmy brać z niego przykład. Nie bójmy się; ani Niemcy, ani Sowietci szczęścia nam nie odbiorą, ani ktokolwiek inny, ponieważ ono tkwi w naszych duszach, w naszej miłości, w naszej więzi z Bogiem i Ojczyzną. Gdyby nawet wojna doprowadziła do ruiny polską ziemię, pozostanie ona w naszych myślach, w pamięci, w sercach. Tak to sobie teraz wyobrażam. I może dlatego jakoś mniej się boję.

Niemal świtało, kiedy Teofila powróciła do swojej części dworku. Nie musiała już zasłaniać kocami okien; usiadła szybko do naprawiania partyzanckich płaszczy i mundurów. W duchu cieszyła się, że leśni obrońcy dbają o nie, czyszczą w każdej nadarzającej się okazji, jakby przeczuwali, że niebawem będą uczestniczyć w wojskowej paradzie. Pozaszywała wyraźne przetarcia, wzmocniła guziki, naszyła kilka grubych lat. Rankiem, kiedy spoglądała przez okna, dostrzegła, jak przez tajne przejście w płocie przemyka się wysłannik partyzantów i umówionym pukaniem do drzwi oznajmia swe przyjście.

– Siostró Teofilo, czy wszystko przygotowane, mogę zabrać nasze ubiory?

– Właśnie skończyłam szycie, odrzekła z śmiechem. Proszę przekazać przełożonym, dodała z napięciem, że Niemcy szykują na was oblężenie, podobnie, jak na Żydów, którym udało się zbiec z getta. Odejdźcie w głąb puszczy nie organizujcie w najbliższym czasie żadnych akcji. Niech się Niemcy trochę uspokoją, niech opadnie z nich niszczycielska złość, w końcu i oni są ludźmi, a nie tylko narzędziami do zabijania.

– Przekażę, oczywiście.

Kiedy stał już w progu szepnęła mu niemal do ucha:

– Modlimy się za was, byście wytrwali i nie utracili ducha. Pamiętajcie o tym, no i sami się też módlcie. Modlitwa ułatwia oddech, umacnia w poczuciu jedności nie tylko z Bogiem, ale również z najbliższymi, koi strach. Wypróbowałam to na samej sobie, wierzcie mi.

– My się nieraz razem modlimy, przy ognisku, wieczorami. Żeśmy się również przekonali, że bez Boga niczego nie osiągniemy, a sama śmierć, napotykając na głosy modlitwy, łagodnieje, traci swój impet. Przynajmniej tak mi się wydaje.

– Niech zatem Bóg was prowadzi, w myśli wypowiedziała Teofila, widząc, jak młody akowiec wtapiał się majestatycznie w poranną mgłę, dźwięcąc na plecach ciężki wór z ubraniami i jedzeniem.

Chciała jeszcze położyć się spać, ale nie zdołała zasnąć. Okryła się tylko jakimś swetrem i drzemała w pokojowym półmroku. Czuła się przynębiona, mimo że przed chwilą zapewniała, że jest inaczej, że Bóg daje jej siłę, że nadzieja nie opuszcza jej serca. Podniosła się z fotela, podeszła do łóżka i uklękła tuż przy nim. Bez pośpiechu zdjęła nocną koszulę, szkaplerz i położyła na krześle. Klęczała zupełnie naga, pozbawiona najmniejszej iskiereki wstydu, jakby przed sekundą wyszła z łona matki, bezradna i oczekująca na natychmiastową pomoc. Wsunęła rękę pod siennik i wyjęła stamtąd skórzany pasek, rozcięty przy końcu na kilka wąskich pasemek, do których były przymocowane metalowe kulki. Po chwili modlitwy zaczęła uderzać się nim po plecach, aż poczuła, że krew już splywa po jej wychudzonym ciele. Wówczas położyła się na podłodze i leżała bezprzytomnie, prawie bez oddechu. „Muszę cierpieć dla Chrystusa, jak ci, którzy Go najmocniej kochają. Muszę zadawać sobie ból, bym nigdy nie zapomniała, że jestem grzeszna, pełna pychy, bym mogła być żołnierzem w Bożych sprawach, bo przecież rana miłości mnie i cały świat wyzwoli”, powtarzała jednostajnie w religijnym podnieceniu.

Za oknem panowała wszechobecny bezgłos. Nie zagłuszał go nawet szmer niemieckich samochodów, które potajemnie kierowały się w stronę Katryнки, gdzie partyzanci ulokowali swe oddziały. Lufy cekaemów powoli przeczesywały horyzont, wymierzone prosto w rozjaśniające się miarowo niebo.

ks. Jan Sochoń

* Fragment przygotowywanej do wydania powieści *Skurcz serca*.

Agnieszka Stabro

II

Oto jestem, Panie Rodin

(fragment*)

Twoim przewodnikiem po artystycznym Paryżu oraz doradcą w twórczych poszukiwaniach i rzeźbiarskich próbach, które szły Ci coraz lepiej, był Alfred Boucher. Zaznajamiał Cię z ważnymi osobistościami, opowiadał o wydarzeniach w sferze towarzyskiej, oprowadzał po mieście. W jego relacjach coraz częściej pojawiała się postać niemłodego już lecz ciągle mało znanego rzeźbiarza Augusta Rodina, którym Boucher był zachwycony. Prace artysty tak bardzo spodobały się Alfredowi, że ujął się za Rodinem, gdy twórca został oskarżony o wykonywanie odlewów wprost z ludzkich ciał a następnie wystawianie ich jako własnych rzeźb. Paryż huczał a opinia publiczna podzieliła się na dwa wrogie obozy. Jeden obrzucał Augusta błotem, drugi wywyższał go nad innych rzeźbiarzy, których miałby prześcigać talentem i zdolnościami. Alfred Boucher należał do grupy gorących zwolenników Rodina; doceniał kunszt rzeźb, cenił warsztat i nie sądził, by artysta naraził się świadomie na poważną krytykę. Poznał w nim przyszłego mistrza; szczerze wierzył, że prawda ciężkiego wysiłku połączonego z ogromnym talentem, stoją za jego pracami. Postanowił oczyścić Rodina z zarzutów, jednak wcześniej pokazał Ci *Wiek brązu*, abyś wyrobiła zdanie na jego temat.

Wiedziałaś, że dzieło Rodina nie jest odlane, ale wyrzeźbione, gdy tylko je zboczyłaś. Dostrzegałaś najmniejsze pociągnięcie dłuta, każdy wysiłek ręki, wyraźnie widziałaś walkę artysty z materia, zmaganie z sobą samym. Patrząc na *Wiek brązu* przez ułamek sekundy wydawało Ci się, że widzisz w dziele Rodina swoje ślady. Odniosłaś wrażenie, że kiedy w czasie pracy dłuto w dłoniach Augusta osunęło się nieco za nisko, twoja ręka paręnaście ulic dalej w czasie ćwiczeń z rzeźby wykonała niekontrolowany ruch. *Wiek*

brązu zachwycił Cię oraz ujął za serce; zanim Boucher doprowadził do waszego spotkania stałaś się zwolenniczką i obrończynią Rodina.

Ktoś, kto tak pięknie rzeźbi nie jest człowiekiem zdolnym do ogromnego oszustwa, wszystko tu jest doskonałe, lecz to jest perfekcja osiągnięta ciężką, morderczą ludzką pracą. – Myślałaś, stojąc przed rzeźbą jak oniemiała. – *Każdy miesiąc, każde ściegno tak wspaniale odwzorowane, i ten ruch...*

Kiedy parę tygodni później w jednej z paryskich kawiarni Boucher przedstawił Cię Rodinowi jako początkującą rzeźbiarkę i jego zagorzałą zwolenniczkę, myślałaś, że ze wstydu zapadniesz się pod ziemię. Nie potrafiłaś powiedzieć słowa oprócz grzecznościowych oraz konwencjonalnych zwrotów. Zazwyczaj rozmowny Rodin milczał, obserwując Cię z zainteresowaniem, nie wdając się w dyskusje z Bocherem. Nie był przyzwyczajony do Twojego zachowania; kobiety, które spotykał, prowadziły z nim ożywioną konwersację, wypytywały o szczegóły pracy, w odurzającym zapachu perfum składały niedwuznaczne propozycje, którym towarzyszył nachalny wzrok zza firanek gęstych rzęs; tymczasem ty milczałaś. Zerkając na niego z ukosa, nie narzucając się, nie zmuszając go do tłumaczeń i nie wyciągając z niego opowieści. Rodina zafascynowały Twoja nieoczywista uroda, niewymuszona skromność, która symbolizowała dystans do świata i pogardzanie wartościami, którymi współczesny Paryż holdował. Przeczował, że rzeźba nie jest dla Ciebie fanaberią lecz namiętnością, życiowym celem, stanowi o tobie i jest Ci najbliższa. Zrozumiał, że wyrażany przez Ciebie sprzeciw wobec stawianych mu zarzutów brał się z głębokiego zrozumienia jego pracy, rzeźby, materii, procesu tworzenia. Niedawno dostał zamówienie na *Bramę piekieł* i już w czasie pierwszego spotkania zastanawiał się, jak zaproponować Ci współpracę przy nich, tak aby Cię nie urazić. Dostrzegał Twoją dumę a jednocześnie kruchość, wrażliwość, i bał się Ciebie skrzywdzić źle postawionym pytaniem, niewłaściwą propozycją, nieopatrzonym słowem.

Niewiele rozmawialiście podczas pierwszego spotkania; ważne były spojrzenia, gesty, cisza; konwersacje gubiły się w kawiarnianych szmerach. Wrażenie, jakbyście znali się od dawna, powstałe w czasie pamiętnego pobytu w kawiarni, nie opuszczało was przez długie lata. Szybko porzuciliście grzecznościowe formy i odnosiliście się do siebie, jakby wasza znajomość trwała niemalże od zawsze.

Patrząc na Twoje wyblakłe zdjęcie Camille i myśląc o tym, jak często musiałaś wspominać tamto popołudnie z Rodinem...

Lato chyliło się ku końcowi, ciepły wiatr poruszał drzewami, płatał się we włosy. Słońce przesuwalo się po wyblakłych parasolach na tarasie kafejki, oświetlało twarz Augusta, wydobywając z niej rysy twarzy, blask oczu, zatrzymując się na lekkim uśmiechu czającym się w kącikach warg. Bily kościelne dzwony, krzyczały dzieci. Siedząc przy stoliku z Rodinem i Boucherem nie potrafiłaś oderwać wzroku od dłoni rzeźbiarza, w których zakochałaś się niemalże natychmiast. Mocne, jakby ukształtowane przez czyjeś inne ręce, duże i bezpieczne, wydawały Ci się nieskończenie piękne, o idealnych proporcjach i kształcie, dostrzegałaś w nich fizyczny trud pracy, połączony z delikatnością materii, którymi się zajmowały, siłę i wrażliwość. Wydały Ci się kruche a zarazem mocne.

Po ciągnącym się w nieskończoność dudnieniu palcami o stół i uciekaniu wzrokiem, z ust Rodina padła propozycja pracy przy *Bramie Piekieł*. Nie przyjęłaś od razu zaskakującej oferty i speszona uciekłaś do toalety. Chwilę później na kawiarnianej serwatce napisałaś drżącą ręką: *chyba tak, zgadzam się*, co Rodin przyjął z wielką radością, pokrytą natychmiast lekkim zakłopotaniem, cieniem zdziwienia. Gdy spotkanie zbliżało się do końca August niespodziewanie, przyciszonym głosem wyrzucił z siebie:

– Może poszłaby Pani z nami na spacer bulwarami Sekwany? Planowaliśmy małą eskapadę.

– Bardzo chętnie. – Odpowiedziałaś zdumiona. – Ale niestety, muszę wracać na obiad do domu. Rodzice czekają.

– Ach tak. – Rodin starał się zamaskować rozczarowanie uśmiechem. – No cóż, oczekuje Panią w takim razie w moim atelier, do zobaczenia.

Mężczyźni spokojnym krokiem udali się w stronę rzeki, a Ty stałaś jeszcze przez chwilę przy kawiarnianym stoliku, patrząc na znikającą sylwetkę Rodina. Propozycja Augusta bardzo Cię zadziwiła i pragnęłaś z niej skorzystać, lecz spóźnienie skończyłoby się awanturą, płaczem matki, krzykami ojca, zakazami, niewygodnymi pytaniami. Wróciłaś zatem nie wspominając nikomu ani słowem o spotkaniu w kawiarni.

(...)

Mijał kolejny dzień w atelier. Trwało upalne lato, powietrze drżało, pod sufitem uporczywie brzęczały muchy. Gorące podmuchy wiatru wpadały do dusznej pracowni, światło przesuwalo się z rzeźb na twarze studentów. Pogrążona w pracy, szybkimi ruchami ręki ocierałaś pot z czoła – wysiłek, który wkładałaś w rzeźbę potęgował zmęczenie i uczucie duszności. Pracowano w kompletnej ciszy, a atmosfera była inna niż zazwyczaj; nie sły-

chać było gwaru rozmów czy śmiechu modelek. Czas płynął nieśpiesznie, przesuwiał się powoli po odlewach i masach przygotowanych do rzeźb. Pozujące dziewczęta nie reagowały na zaczepki ani na żarty mężczyzn, uśmiechały się tylko delikatnie kącikami warg. Przez otwarte okna słychać było stłumione odgłosy miasta. Paryż jakby się zatrzymał, chłonoł słońce, sycił się latem, rozkwitał ogródkami kawiarni, dając mieszkańcom schronienie i cień jedynie pod parasolami lokali.

Nie zwracałaś uwagi na to, co mówił Boucher, wyłapywałaś tylko pojedyncze słowa: *Włochy, wyjazd, zastępstwo, nie wiem na jako długo, mam nadzieję, że będziecie zadowoleni*. Dopiero gdy wydało Ci się, że słyszysz znajomy głos, podniosłaś głowę znad rzeźby i oniemiałaś. Przez chwilę myślałaś, że stojący obok Bouchera Rodin jest wytworem Twojej wyobraźni. Artysta przystępował z nogi na nogę i wyraźnie skrupowany sytuacją starał się wydusić powitalne przemówienie. Zakłopotany, z lekką obawą przyglądał się studentom, podczas gdy w swojej pracowni wiódł prym, był duszą towarzystwa. Zastanawiałaś się, czy August rzeczywiście Cię nie dostrzega, czy jedynie stara się zrobić wrażenie, że Cię nie widzi. Po krótkiej, konwencjonalnej przemowie Rodin zaczął podchodzić do każdego studenta, aby bliżej przyjrzeć się jego pracy, rzucić uwagę, komentarz, dać wskazówkę na przyszłość. Nie wiedziałaś, jak się zachować, nie potrafiłaś zrozumieć, co się z Tobą dzieje. Spocone ręce ledwo trzymały dluto, miałaś wrażenie jakby fale gorąca uderzały Cię ze zdwojoną siłą i żar wdzierał się do pracowni. Wielka radość pomieszana ze strachem oraz onieśmieleniem nie pozwalała Ci dalej pracować. W jednej sekundzie pragnęłaś rzucić się Rodinowi na szyję by za moment chcieć schować się w najciemniejszym kącie pracowni. Cieszyłaś się z obecności pokrewnej duszy i bliskiej osoby, bojąc się jednocześnie bliskiego zetknięcia z artystą.

Camille, gdybyś tylko wiedziała, że August obawiał się rozmowy z Tobą po stokroć bardziej. Zauważył Cię gdy tylko wszedł do atelier i pomimo wysiłku nie potrafił oderwać od Ciebie wzroku. Przez rok bardzo się zmieniłaś. Ze skromnej, niepewnej siebie młodej dziewczyny stałaś się dorosłą, piękną kobietą, całkowicie świadomą swojej pracy i jej wartości. Promienie słońca padały na Twoją twarz, gdy Rodin przyglądał się drganiu mięśni przy każdym pociągnięciu dluta, gdy obserwował kąciki warg unoszące się w lekkim zadowoleniu lub wykrzywające w grymasie złości. Złote nitki światła wpływały się w twoje kruczoczarne włosy, nadając im niespotykany kolor. Twoje ręce, na spotkaniu w kawiarni drobne i delikatne, stały się

szorstkie, zniszczone, noszące piętno ciężkiego wysiłku oraz będące świadectwem morderczej pracy. Niewątpliwie rzeźbienie pochłaniało Cię bez reszty, Rodin był pewien, że poza sztuką nie istnieje dla Ciebie nic innego.

Gdy August pojawił się obok Ciebie, w stojącym powietrzu dało się wyczuć niesamowite napięcie

– Panno Claudel, chciałbym zobaczyć Pani rzeźby. – Starał się być jak najbardziej oficjalny.

– Proszę bardzo. – Nie potrafiłaś ukryć, jak bardzo trzęsą Ci się ręce. – Oto one.

Rodin zaniemówił. *Głowa starej Heleny* oraz *Popiersie Paula Claudela w wieku lat 13* były doskonale. Wydawało mu się przez moment, że widzi lustro, a w zwierciadle, pokazującym nie tylko podobieństwa lecz i różnice między waszymi pracami, odbijają się jego własne rzeźby. Po twarzy artysty przebiegł lekki skurcz.

Tego właśnie wciąż szukam – pomyślał. – Szerokość kąta, spojrzenie, uchwycenie rzeczywistości.

Agnieszka Stabro

* Fragment pochodzi z książki pod roboczym tytułem „Camille Claudel. Rzeźbiarka”, nad którą obecnie autorka pracuje.

Małgorzata Strękowska-Zaremba

Dom nie z tej ziemi

(fragment)

Kryjówka w krzakach

– Co robisz w krzakach? Mieszkasz tu?

Obcy głos zaskoczył Marysię. Myślała, że w krzakach jest niewidoczna. Jej serce zatrzepotało jak przestraszony ptak i wskoczyło do gardła, żeby się w nim ukryć.

Dziewczynka odwróciła głowę. Nieznajomy chłopak patrzył na nią z góry.

– Nie mieszkam w krzakach, nie – zaprzeczyła pospiesznie, chociaż z sercem w gardle trudno było mówić.

Chłopak się roześmiał.

– Nie pytałem, czy mieszkasz w krzakach – powiedział rozbawiony. Roztrzącił gałęzie rozczochranych wiosennych krzewów. Z drobnych liści posypały się przezroczyste krople rosy. Brzdęk! Brzdęk! – rozpryskiwały się na ziemi jak szklane kule zrzucane ze szczytu góry na twardą skałę.

– Pytałem, czy mieszkasz przy tej ulicy. To Radosna, tak? Widziałem cię w szkole.

Tym razem serce zadrżało niczym zostawiony na mrozie psiak. A przecież dzień był dość ciepły.

Widział mnie w szkole? Mieszka tu! – pomyślało się Marysi w głębi strwożonego serca i zapytało się:

– Mieszkasz tu?

Jeżeli chłopak chodzi do jej szkoły, to może mieszkać właśnie przy TEJ ulicy, Radosnej. Marysia nie знаła tu prawie nikogo. W zasadzie wszyscy byli przybyszami z innych dzielnic lub miejscowości, bo osiedle dopiero powstawało i codziennie wyrastał jakiś nowy dom, do którego wprowadzali się jacyś nowi, obcy ludzie.

Chłopak zachichotał.

– Nie mieszkam w krzakach – odpowiedział.

Marysia też byłaby się roześmiała, gdyby nie serce w gardle, które za nic nie chciało wrócić na swoje miejsce.

– Mieszkam tam. – Chłopak wskazał za siebie, na odległe blokowisko.

– Daleko – dziewczynka poczuła ulgę. Jej serce fiknęło i ześliznęło się do piersi już bez drżenia. – Ja mieszkam... Wiesz, gdzie jest stare osiedle nad rzeką? To tam mieszkam. W domku. To znaczy, w dwóch pokojach, bo to dom cioci, ale budujemy nowy dom dla siebie.

– Daleko – powtórzył za Marysią.

– Przestraszyłeś mnie. Mógłbyś... – chciała powiedzieć: „mógłbyś się tak nie skradać”, ale ją ubiegł.

– Zapukać? – spytał z rozbawieniem w oczach. – Się nazywam Daniel. Mieszkam w blokach od tygodnia. Fajna ta kryjówka w krzakach. W co się tu bawisz?

Serce ukuło Marysię w żołądek.

Można żyć z sercem w brzuchu? – pomyślało się jej i powtórzyło się głośno.

Daniel wybuchnął gromkim śmiechem.

– Ciszej! – Marysia szarpnęła go za rękaw bluzy. – Mów szeptem. Proszę...

– Dlaczego szeptem? Śledzisz kogoś? – chłopak przykucnął obok dziewczynki i ostrożnie rozchylił krzaki od strony ulicy Radosnej. Zobaczył kilka nowych domów. – Śledzisz! – potwierdził swoje przypuszczenia. – Fajnie.

– Śledzę... – z wahaniem przyznała Marysia.

– Kogo? Ja też mogę? Umieć się wspinać. Ćwiczę w klubie wysokogórskim. Kumple ze starej szkoły nazywali mnie Pająk albo Spider... Z czego się śmiesz?

Marysia nie śmiała się głośno, tylko jej oczy rozbłyły uśmiechem.

– Przecież Spider to pająk, tylko po angielsku.

– Wiem, że po angielsku! Nie jestem tumanem! – burknął, ale nie odszedł. Nudził się, więc chętnie dołączyłby do zabawy Marysi. – Kogo śledzisz? Powiedz. Pomogę ci.

Machnęła ręką.

– Nieważne. Tak tylko siedzę i patrzę.

Nie uwierzył.

– Ściemniasz. Bo zacznę krzyczyć i cię zdemaskuję! – zagroził i zaraz wykrzyknął: – Kto chce wiedzieć, co jest na pustej działce w krzakach?!

Kilku przechodniów zaczęło się rozglądać.

– Cicho! – wybuchnęła Marysia.

Nie chciała wydać TAKIEJ tajemnicy. I nie chciała żadnych pomocników, nawet umiających się wspinać Pająków, Spiderów, czy nawet Spidermanów. Ale najbardziej nie chciała zostać zdemaskowana, dlatego odpowiedziała na pytanie Daniela.

– Śledzę dom.

Daniel miał niebieskie oczy i gęste blond włosy. Był wyższy i starszy od Marysi. Bardzo chciał wyglądać poważnie, niestety dolki w policzkach sprawiały, że bardziej przypominał przedszkolaka niż piątoklasistę.

Marysia nie wiedziała, czy może mu zaufać. Dotąd radziła sobie sama. Znalazła wspaniałą kryjówkę obserwacyjną, z której było widać TEN dom po drugiej stronie ulicy. Widać było, kogo wpuszczają do środka drzwi domu i kogo wypuszczają na zewnątrz. Teraz jej kryjówka została odkryta, musiała więc zrobić wszystko, żeby nikt więcej, oprócz Daniela, nie dowiedział się o niej. Chłopak nie mieszkał przy Radosnej, więc może uda się nie dopuścić go do wszystkich tajemnic. Taką miała nadzieję.

– Śledzisz dom? – zapytał z niedowierzaniem. I roześmiał się znowu zbyt głośno.

– Przestań! – Marysia krzyknęła, zapominając o zachowaniu cizy.

– Bo co? Dom usłyszysz i ci zwieje? Chciałbym to zobaczyć – śmiał się nieprzerwanie.

– Może kiedyś zobaczysz! – rzuciła bez zastanowienia i gniewnie wciągnęła na głowę kaptur zielonej bluzy. Jej wzburzone serce dudniło niczym bębny na defiladzie.

– Jak powiem Dłугоmu, że śledzisz dom, to umrze ze śmiechu. Jak to robisz? Chodzisz za nim krok w krok? – mówił z rozbawieniem.

Kto to jest Dłуго?! – serce Marysi dobijało się o odpowiedź i męciło jej myśli. Cicho bądź! – ofuknęła je w duchu.

– Jak zgodzę się, żebyś dołączył do mojego śledztwa, to nic nikomu nie powiesz? – spytała, starając się ukryć zdenerwowanie.

– Okej. Tylko nie kłam o jakimś domu – odpowiedział.

Marysi zrobiło się przykro. Przecież mówi prawdę. Siedzi w krzakach i cały czas patrzy na ten dom. Ale to nie jest tylko patrzeć. To jest śledzenie, bo ten dom jest tak samo tajemniczy i groźny jak chatka z piernika Baby-Jagi, chociaż nie stoi na kurzej nóżce i nie zbudowano go ze słodkich ciastek.

– Nie kłamię – powiedziała cicho. – Mówiłeś, że umiesz się wspinać. Ja też się wspina. Nie boję się wysokości. Wejdę na każde drzewo i na każdy mur. Pokażę ci, tylko nie dziś.

– Dziś nie masz czasu, bo śledzisz dom? – zapytał z lekką kpina, ale na szczęście nie groził już, że wyda jej kryjówkę.

– Nie tylko dlatego. Wspina się po ciemku, żeby było trudniej – odparła. Daniel wzruszył ramionami.

– Zmyślasz. Takie maluchy jak ty boją się ciemności – stwierdził.

– Ja się niczego nie boję. Wspiąłeś się kiedyś na dach?

– Psiej budy? Z tysiąc tysięcy razy wspinałem się na budę i nigdy nie spadłem, mówię ci. Nawet pokazali mnie w telewizji. Dostałem odznakę najlepszego wspinacza na psią budę – żartował.

Marysia parsknęła przytłumionym śmiechem.

– Nieźle, jak na pajaka – powiedziała.

Przez chwilę śmiali się oboje. Serce też śmiało się do wtóru, chociaż nikt poza Marysią go nie słyszał.

– Będziemy się fajnie bawić w śledzenie, tylko zapamiętaj sobie, że ja jestem... – Marysi zabrakło właściwego słowa.

Że ja jestem szefową – pomyślało się jej.

– Że jestem szefową. Pierwsza odkryłam ten dom i zrobiłam kryjówkę obserwacyjną.

Daniel znowu wzruszył ramionami. Za mała jesteś i na szefową, i na szefa – pomyślał. Głośno jednak powiedział:

– Może być, zobaczymy jak szefujesz, szefowo.

Rozsiadł się wygodnie na ziemi.

– Który dom śledzisz? Kto się w nim ukrywa? – zapytał.

Małgorzata Strękowska-Zaremba

Dom nie z tej ziemi dotyczy rzadko poruszanego w literaturze dla dzieci tematu przemocy w rodzinie. W realny świat małych bohaterów wkracza świat baśniowy, fantastyczny, co pozwala przedstawić nieobojętny emocjonalnie temat w sposób przyjazny dla młodego czytelnika. Książka ukaże się nakładem Naszej Księgarni.

Zrealizowano w ramach
stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Zbigniew Taranienko

I. Przed *Umarłą klasą* i po niej *

Moje kontakty z Tadeuszem Kantorem trwały kilka lat – od umawiania się z nim na rozmowę, która miała być publikowana w „Argumentach” w 1972 roku – a w dalszej części tej książki pojawia się w nowej, pełnej wersji – po dwugodzinną rozmowę telefoniczną w końcu lata w 1979 roku, kiedy artysta, długo nie chcąc jej kończyć, pełen goryczy i napięcia, wyrzucił ekspresyjnie z siebie relację o nieprzyjaznym i dość podłym postępowaniu krakowskich władz miejskich, podejmujących takie decyzje, jakby ostatecznie chciano się go pozbyć wraz z teatrem Cricot 2 z miasta. Pewnie artysta liczył na jakąś warszawską interwencję, a przynajmniej na to, że opowiem to, co mówi, komuś, kto jest władny wpłynąć na sposób postępowania urzędników i wydawane przez nich zarządzenia. Moja późniejsza opowieść o tym, jak władze Krakowa traktują wielkiego artystę po licznych już sukcesach *Umarłej klasy*, przekazana pocztą pantoflową, mogła rzeczywiście dotrzeć do władz ministerstwa, ale wątpię, by miało to jakieś istotne znaczenie w dalszym biegu wypadków, ostatecznie nie do końca dla Kantora niekorzystnych. On sam, rozżalony, wiedząc, że właśnie ostatnio wykonywane przez niego rekonstrukcje i dokumentacje teatralne Cricotu szybko mogą ulec zniszczeniu, jeśli nie zostaną właściwie zabezpieczone, odgrażał się, że za trzy tygodnie wyjeżdża do Florencji, z którą zawarł kontrakt, i gdzie dają mu wszystko co potrzebne do pracy – i nigdy już jego noga tu nie postanie [...]

Ale to nie koniec przygód z rozmową z Kantorem – sięgają one dnia dzisiejszego. Dałem się namówić Józefowi Chrobakowi, kuratorowi wystawy Marii Stangret i Tadeusza Kantora w Cricotece nie tylko na komentarz po latach – okazało się bowiem, że informacji o wcześniejszym okresie tworzenia się koncepcji teatru artysty jest dość mało – ale także na nowe odsłuchanie szczęśliwie zachowanego starego nagrania rozmowy z dzisiejszej perspektywy. Jego celem miało być ewentualne uzupełnienie starego

tekstu o pomijane niegdyś fragmenty, których znaczenie przekształcił mijający czas – czyli takie, które dzięki procesowi przemijania i zapominania stały się ważnym dokumentem drogi twórczej i rozwoju artysty. W tej sytuacji swoją wagę mają nawet pomijane wcześniej drobiazgi – nawet więc i takie, kiedy Kantor kilkakrotnie bezpośrednio po głośno danej odpowiedzi, mówi do siebie zupełnie coś innego prawie niesłyszalnym szeptem...

Tekst rozmowy zmienił więc swoją formę i podwoił objętość, zasadniczo różni się od trzech publikacji prasowych, a także książkowej [...]

II. Spotkanie z Tadeuszem Kantorem 3 marca 1973 roku w jego pracowni na Elbląskiej w Krakowie

[...]

Z.T.: Czym jest w ogóle teatr? Czy można na takie pytanie odpowiedzieć?

T.K.: Proszę pana, ja nie robię teatru... To znaczy, ja robię teatr, ale nie mam programu, ażeby robić teatr. Jeżeli, na przykład, z happeningu wypłynęła potrzeba stworzenia jakiegoś jak najbardziej zbliżonego odpowiednika w teatrze, była ona jak najbardziej realną i konkretną potrzebą, koniecznością...

Z.T.: Ale z czego wypływającą – z teatru czy z happeningu?

T.K.: Proszę pana, ja właśnie jestem poza – chcę uniknąć profesjonalności.

Z.T.: Ale przy robieniu teatru nie musi powstawać profesjonalność...

T.K.: Profesjonalność jest zawsze wtedy, kiedy ktoś zajmuje się teatrem, a jego potrzeba teatru nie wypływa w sposób naturalny, tylko profesjonalny. Proszę pana, ja bardzo to rozróżniam. W momencie, kiedy myśmy tworzyli teatr w czasie okupacji, to instytucji teatralnej nie było – może się źle wyraziłem, chciałem powiedzieć, że potrzeba teatru jest czymś innym od potrzeby, której domaga się instytucja.

Z.T.: Właśnie o tej niezafalszowanej potrzebie teatru chciałem mówić...

T.K.: Instytucja teatru wymaga od tych ludzi, którzy w się niej znajdują, żeby tworzyli teatr. I wtedy to jest teatr profesjonalny.

Z.T.: Oczywiście, ale ja o takim teatrze nie chciałem mówić, tylko o tym autentycznym...

T.K.: Proszę pana, w momencie kiedy zaczynam w sposób naturalny robić teatr, jest wszystko w porządku. Jeżeli potem zaczynam robić następne przedstawienie i nie zburzę poprzedniego etapu, to zaczynam stawać się profesjonalistą... I jest to los wszystkich teatrów, powiedzmy studenckich, które na pewno wynikły, zwłaszcza dobre, z naturalnej potrzeby teatru.

Z.T.: A czym jest ta naturalna potrzeba teatru?

T.K.: Naturalna potrzeba teatru, wie pan, jest nieuwarunkowana instytucją.

Z.T.: Oczywiście.

T.K.: Ale w momencie, kiedy teatr staje się instytucją i następuje drugie przedstawienie, to natychmiast pojawia się profesjonalizm.

Z.T.: A czym jest wewnętrzna potrzeba teatru, bo o czymś takim można mówić...

T.K.: Jest to jakaś bardzo określona predyspozycja... [I ledwie słyszalnym szeptem: „Niech się zdaje panu...”]

Z.T.: Ale nie tylko aktorska? Nie można by było tak powiedzieć?

T.K.: Nie, w ogóle jest to inna sprawa. Jest jednak różnica między baletem, muzyką, teatrem. Ja rozróżniałem balet od teatru, od opery, bardzo to odcinam. [I szeptem: „To zupełnie co innego”.]

Z.T.: A pantomima?

T.K.: Zależy co... jaka? Bo mim – tak. Ale pantomima, wie pan...

Z.T.: Nie naśladowcza, nie Marcela Marceau, raczej mim Decroux, z tej szkoły...

T.K.: Tak. To tak, jak cyrk, który jest podstawą teatru.

Z.T.: Cyrk, czyli umiejętność? Czy cyrk jako hazard?

T.K.: Nie, nie. Wszystko to, co jest cyrkiem... Dla mnie uosobieniem cyrku jest Charlie Chaplin. On nie obawia się śmieszności. Ja mam, niestety tylko w języku francuskim, tekst *Kondycja aktora*. To jest bardzo ważne. Określam tam, kto to jest aktor... Aktor jest człowiekiem, który jest zdolny pozbawić się godności ludzkiej.

Z.T.: W imię czego?

T.K.: W imię sztuki. Każdy artysta pozbawia się swojej godności, tak zwanej ludzkiej, konwencjonalnej.

Z.T.: Czyli przyjmowanej społecznie w danym okresie?

T.K.: Oczywiście. I z tego powodu cyrk jest dla mnie podstawą teatru.

Z.T.: Ale skoro sztuka jest nieokreślona, na przykład nie można określić jej granic, to właściwie – w imię czego artysta ma pozbawiać się swojej godności?

T.K.: Wie pan, to jest jakaś sprawa... Sztuka jest nieokreślona, ale ciągle używa się tego słowa.

Z.T.: Czy artysta może pozbawić się swojej godności ze względu na twórczość, własny akt twórczy, który się ceni, czy ze względu na jakieś inne wartości, które dzięki temu powstają? Powiedzmy, że są one zwykłe wartościami obiektów, które są rezultatami całego procesu – samej sztuki, ale też czegoś innego, co nie może mieć przedmiotowego wyrazu... Będzie więc, powiedzmy, także wyborem czy sugestią...

T.K.: No, wie pan, największy akt twórczy, który był wyborem, należy do Marcela Duchampa. On to zaczął, tylko potem zjawilo się tysiące głupców, którzy robili to samo. I natychmiast wybór stał się konwencją...

Z.T.: No tak, powstała już taka konwencja...

T.K.: Te warianty dla mnie, wie pan, to...

Z.T.: Czy możemy jeszcze dookreślić aktorstwo i wewnętrzną potrzebę teatru?

T.K.: Dla mnie istnieje naturalna wewnętrzna potrzeba teatru, którą mają ci ludzie, którzy tworzą teatr autentyczny...

Z.T.: A czy można ją jakoś...

T.K.: Określić? Właściwie, wie pan, ja nigdy tego nie próbowałem. Ani nie odczuwałem takiej potrzeby, ani nie uważałem, żeby to było mi do czegoś potrzebne, wie pan. Jeżeli definiuję w swoich pismach pewne rzeczy, to w tym celu, ażeby zdefiniować bardzo realne i konkretne pojęcia czy zjawiska w teatrze.

Z.T.: To już jest inny szczebel abstrakcji...

T.K.: Ale, wie pan, jeżeli mówię, że nie mam absolutnie ambicji tworzenia teatru, w takim sensie, w jakim używa się tego słowa, to właściwie jestem przeciwko teatrowi... Jestem przeciwko temu teatrowi, który ciągle przestaje być sztuką. Nawet teatry pseudo-awangardowe, czy te, które chcą być awangardowe, jeżeli mają jakiś tylko jeden moment autentycznej realizacji, natychmiast przechodzą na jakieś tory, które nie są twórczością... Dlatego, wie pan, w momencie, jeżeli ja sobie powiem: nie tworzę teatru, tylko wtedy, jak mam jakąś ideę, to wtedy ją realizuję – pomijam to wszystko.

Z.T.: Ale wybiera pan formę teatru, a nie happeningu, malarstwa czy jeszcze jakąś inną, na przykład zapisu. Nie wiem, czy nie jest to także twórczość literacka...

T.K.: No, na pewno, proszę pana. Na pewno. Ale ja, w końcu, robię malarstwo, i robiłem happeningi, i robię *activité*, przechodzę na teatr – te granice bardzo się u mnie zacierają.

W zasadzie nie określam takich ogólnikowych, powiedziałbym, problemów. Nie odczuwam potrzeby i nawet nie wiem, czy bym potrafił, wie pan. Jeżeli się jest w środku czegoś, to nie potrafi się dobrze tego określić.

Z.T.: A czy nie można też określić specyfiki teatru?

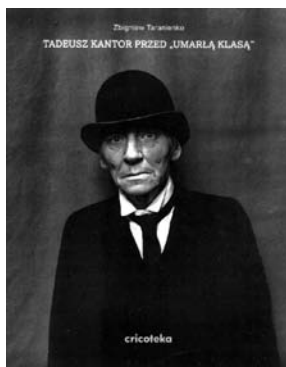
T.K.: Unikam tego jak najbardziej, dlatego że ciągle się okazuje – a już na przestrzeni tych trzydziestu lat, czy trzydziestu pięciu, miałem szereg momentów, kiedy się wydawało, że się określiło pewną specyfikę – i okazywało się, że dalszy rozwój zupełnie temu zaprzeczał. Pozostawienie wolnej drogi przed sobą, bez tego określania, jest...

Z.T.: Jest trudniej?

T.K.: Trudniej, ale daje to większą możliwość rozwoju.

[...]

Zbigniew Taranienko



* Fragmenty książki: Zbigniew Taranienko, *Tadeusz Kantor przed „Umarłą klasą”*, Kraków 2015, wydanej przez Cricotekę.

Grzegorz Łatuszyński

Poezja z trzewi wyciskana

*Spakuję cię, Czarnogóro, do plecaka
Do uczniowskiego, małego
Zwinę z brudną bielizną
I zawiozę do domu, do prania...*

*Gdy przyjadę do drugiej ojczyzny
Posortuję cię, oddzielię barwne od białego...*
(„Flaga”)

Trudno pisać o Dušku Novakoviću i jego poezji, a nawet ją rozumieć w oderwaniu od biografii, która od najwcześniejszych lat dziecięcych tak mu się skomplikowała, że smak życia poznawać zaczął od goryczy, od bólu i niedostatku. Ale, jak twierdzą psycholodzy, nie ma dzieciństwa nieszczęśliwego, wszystko, co złe i najgorsze nawet, znika w blasku czystej radości życia. Duško, wychowywany głównie przez babcię, potrafił swoje życie osłodzić, budując własny świat. W wierszu *Przejmowanie butów zmarłych*, który jest poetycką reminiscencją z tamtego czasu, po latach spisana, czytamy:

*W dzieciństwie
Byłem wodzem, królem przestrzeni
Mogłem się
Nie myć co rano
I nie myć zębów co wieczór
Ani wracać do domu
O nymnanej godzinie*

Poeta wracał do lat, które kształtowały jego wrażliwość i od zarania uczyły trudu życia (*Pamięć o przodkach, Elegia o rowerze i placu, Powrót, Kolacja stygnie, Orestesie*). Ta nauka przydawała mu się na początku, a mam wrażenie, że i dziś się przydaje. Urodził się w 1948 roku w Podgoricy w Czarnogórze. Uczył się w Macedonii, Czarnogórze i w Serbii. Choć zdradzał duże zdolności matematyczne i zamiłowanie do fizyki, po maturze nie wybrał zgodnie z życzeniem ojca fizyki atomowej na Uniwersytecie Belgradzkim, lecz filologię.

Jego ojciec, Nikola, urodzony w Macedonii Egejskiej, był pilotem-radiotelegrafistą i komandosem w RAF-ie w czasie II wojny światowej, a matka Ksenija, Czarnogórka, urodzona w Podgoricy, była znaną i cenioną śpiewaczką, interpretatorką pieśni czarnogórskich, serbskich i bośniackich, tak zwanych sevdalinek (pieśni miłosnych). Sama też napisała i skomponowała wiele z nich, wzbogacając w ten sposób swój repertuar.

Ojca, który w czasie wojny przebywał za granicą, a po wojnie w więzieniu, Duško pierwszy raz zobaczył dopiero w wieku siedmiu lat. Perypetie rodzinne, które odbiły się na jego wczesnych latach i odcisnęły piętno, stając się trudnym bagażem również w latach późniejszych, były źródłem inspiracji dla wielu wierszy młodego, wrażliwego poety (*Itaczaninie, Powrót*). Poezja rozładowywała te traumy sieroctwa. Do Belgradu przywędrował na studia i pozostał w nim do dnia dzisiejszego.

Pierwsze swoje wiersze opublikował w czasach studenckich. Przez lata pracował w Jugosłowiańskim Aerotransporcie, a równocześnie prowadził działy poezji w kilku ważnych w owym czasie pismach literackich.

Jego poezję krytyka literacka śledziła z dużą uwagą od pierwszych tomików, od debiutanckiego zbioru *Znalac ogledala* (1976) i następnych: *Poderotine na vreći*, *Dijalog o nemaru*, *Nadžornik kvarta*, aż po ostatnie: *Kad ćemo svetla pogasiti* (2010) i *Ovuda je prošao Bašo* (2014). Podkreślano, że poezja ta ogniskuje się na chaosie, szczególnie historycznym, który poeta nieustannie penetruje, sięgając aż do starożytnej Grecji, do mitów i *Odyssei*, bo ta jest mu szczególnie bliska, gdyż znajduje w niej wątki podróży, rozłąki, czekania i powrotów, a więc to wszystko, co sam mocno przeżył w dzieciństwie i młodości, a analogie do Odysa, Penelopy i Telemacha nasuwały mu się same. Starogrecka literatura, bazująca na mitach, tworząca je i porządkująca zarazem, jest dla Duška swoistym literackim katalogiem wiekowych doświadczeń ludzkich, indywidualnych i zbiorowych, do których nasze czasy, choć gwałtowne i okrutne, niewiele już wniosły. My dziś powtarzamy to, czego mityczni Grecy, ich bogowie i herosi, doświadczyli dwa i trzy tysiące lat wcześniej. Z równą namiętnością i gwałtownością, z równym okrucieństwem zadajemy dziś ból i cierpienie. Zmieniły się tylko narzędzia i sposoby, i skala.

Dziś szokuje skala, przy której pojedyncze ludzkie cierpienie znacznie się zdewaluowało, a cierpienie zbiorowe nie boli. Ono epatuje liczbami, a coś nie wsparte liczbami, coś pojedynczego, nie działa już na wyobraźnię, przestaje być istotne. Stąd ta powszechna znieczulica. Novaković sięga do mitów, żeby ożywić i uczłowieczyć naszą technicyzowaną rzeczywistość i wrażliwość, żeby na zbrodnie dzisiejszego świata, które osiągnęły

skąłę przemysłową, popatrzeć z perspektywy jednostkowej, żeby uczłowieczyć to, co się odczłowieczyło. Jest to poezja wrażliwa, czująca i współczująca, ironiczna i ciepła, i gniewna chwilami, poezja o naszym świecie, z zadymą i w perspektywie ten świat oglądająca. Miejscami werystyczna.

Wiele wierszy Novakovicia rodzi się z troski o dzień dzisiejszy i jutro, dotyka konkretnych spraw i problemów (*Uciążliwy wieczór*, *Pudełko z przynętami*). I nierzadko formuluje on swój stosunek, ocenia rzeczywistość, w której żyje, bo nigdy ona nie była i nie jest mu obojętna, i z niepokojem patrzy w przyszłość, gdyż jako poeta czuje się odpowiedzialny.

Kiedy pracowałem nad moją dwutomową *Antologią poezji serbskiej XX wieku*, przyjrzeć się musiałem setkom serbskich poetów i przewertować tysiące ich wierszy. Zauważyłem przy tej okazji, że wielu z nich, choć w komunizmie zamykało się nierzadko całe ich życie, nie zostawiło żadnego świadectwa o tamtym czasie, ani złego, ani dobrego. I to u jednych było wyrazem odwagi, u innych tchórzostwa. Młodsze pokolenie poetów przeżyło ostatnią wojnę na Balkanach i też wielu z nich jakby jej nie zauważyło, jakby jej nie było, a przez wszystkie te lata pisali i wydawali swoje wiersze, dalekie od rzeczywistości, dalekie od życia, lecz rzekomo wnoszące coś do języka, wzbogacające ten język poetycki. I myślałem wówczas: Jaką to ma wartość, jeśli nie służy opisaniu tego, co oczy widzą, co uszy słyszą i co serce ścisza?

Duško Novaković do takich poetów nie należy. On ostro widział i komunizm, i wojnę, i o dniu dzisiejszym też pisze tak, jak to widzi i czuje. I pewnie dlatego ani dawniej, ani dziś nie należał i nie należy do tych poetów, którzy czerpią jakiegokolwiek apanaże z uprawiania poezji.

Dla Duška wiersz jest kwestią obecności w życiu, odbierania tego życia zarówno zmysłami, jak i rozumem, i opisywania go wierszem, przeżywania wierszem, i porządkowania wierszem, dostrzegania w życiu poezji zrodzonej z różnych namiętności, dobrych i złych, i rodzącej namiętności, poezji, która spala poetę, a jego słowa przetapia w wiersze, często bolesne, kłopotliwe, niewygodne, ale zawsze prawdziwe. Jest to poeta, którego nie można nie dostrzec, nie można obejść zarówno w literaturze serbskiej, jak i czarnogórskiej. Dlatego znalazł się on w obu moich antologiach, we wspomnianej tu już serbskiej, i w czarnogórskiej, nazwanej: *Słowa, które nie śpią*, wydanej w 2009 roku, a sam tytuł antologii jest, można by rzec, kwintesencją poezji Novakovicia.

Jako syn Czarnogórki i Macedończyka, na dodatek od lat mieszkający w Belgradzie, z pewnością należał do tych, którzy jugosłowianizm uważali za rozwiązanie najtrafniejsze dla wielonarodowego i wielokulturowego

kraju. I przeżywał nie tyle upadek komunizmu, co rozpad Jugosławii, dramatycznie, choć inaczej niż Serbowie, dla których oznaczał on utratę dostępu do morza, degradację państwa, co miało swoją pozycję w świecie, i nie tak, jak Chorwaci czy Macedończycy, a wreszcie i Czarnogórcy, którzy wyzwalali się z serbskiej dominacji i wpadali w związaną z tym faktem euforię. On ich rozumiał, ale nie podzielał ich entuzjazmu. On wrósł w Belgrad i w Serbię i nie chciał się przenieść ani do Macedonii, ani do Czarnogóry. I te sprawy, niezwykle drażliwe, również znalazły swoje odbicie w jego poezji.

Wojny bałkańskie pochłonęły wiele ofiar. Kraj się rozpadł, wprowadzany był nowy ład i nowe myślenie o państwie i społeczeństwie. Nie wszyscy w tym się potrafili odnaleźć. Nowe porządki i nowa polityka coraz bardziej kadłubowej Jugosławii po 1992 roku, która w lutym 2003 r. przybrała nazwę Serbia i Czarnogóra, polaryzowała Serbów. Nie wszyscy byli gotowi ją akceptować. W Belgradzie wrzało, na placu przed parlamentem odbywały się wielotysięczne demonstracje. Trudno sobie wyobrazić, żeby tych niepokojów społecznych nie opisał wyjątkowo uwrażliwiony na dołę człowieczą Duško Novaković. W wierszu *Insert do wspólnego hasła* „Domagamy się zmian“ nie opowiada się on po stronie tej czy innej racji politycznej, lecz po stronie ludzi, których chwila polityczna postawiła w tej dramatycznej sytuacji:

Reżim jest poważnie zachwiany

*Potrząsa nim również pewna babinka
Swoim machaniem ręką z okna do
Hałaśliwej kolumny demonstrantów*

Tam jest jej syn

*A zwracając się w drugą stronę
Macha do swojego zięcia
Który żeby dostać żołd
I utrzymać jej niezatrudnioną córkę
Siedzi w wozie opancerzonym
I czeka na rozkaz do ataku*

Wierszy społecznych w twórczości poety, szczególnie w ostatnim okresie, jest wiele. Są one wyrazem niezgody na obserwowany stan rzeczy

i stopniowego tracenia wiary w demokrację, w której pokładał nadzieję, na którą liczył, że oczyści, zmieni sytuację w kraju, a która w praktyce nie potrafi obronić swoich zasad i celów. W wierszu *Megafon*, którym zamykam ten wybór, poeta pisze:

*Byłaś piękna
I ponętna, demokracjo!*

*I chcę, żebyś wiedziała
Zakochany byłem w tobie...*

*Ale chwila, kiedy zaczęłaś ustępować
Kiedy zaczęłaś się potykać
Może szantażowana grzechami młodości
Może ostudzona
Przez nieustanne zwodzenia
Kiedy stałaś się własnością grupki...*

*Wtedy mi rzeczywiście obrzydłaś
Miałem ochotę splunąć ci w twarz...*

Duško Novaković, jak żaden inny serbski poeta zasługuje na miano kronikarza swoich czasów, barda epoki, który wyśpiewał ją, nie lukrując, taką, jaka jest, i bolejąc nad tym, że jest, jaka jest. Był to i jest jego świadomy program, niełatwy, bo chciał pisać inne wiersze, a te z bólem wyciskał ze swoich trzewi w imię prawdy, gdyż jak pisze w wierszu *Plik*:

*Archiwizują się we mnie razem
Miniony wiek i milenium.*

Duszek Novaković: *Zmęczeni muzykanci*

Wybór, przekład i posłowie – Grzegorz Łatuszyński

Oficyna Wydawnicza „Agawa”,

Seria: Biblioteka Poetycka,

ISBN 978-83-85571-82-7.

Okladka miękka, barwna, foliowana.

Format S6 (12,5 x 19,5). Str. 164. Cena 23 zł



Przekłady Grzegorza Łatuszyńskiego

Adam Pusłojić

About

Grzegorzowi Łatuszyńskiemu

Wygląda na to
że ten nasz nowy oddech daje szansę
żeby i poezja stała się mądrzejsza
i zajęła nowe miejsce
w konstelacji wszechświata
Między Perseuszem na wschodzie
i pyłem gwiazdnym północy

Grzegorz teraz mówi:
„trwanie w perspektywie”
a mnie się wydaje że
wada wymowy mojego cienia
ogarnęła Serbię i że wymaga ona
nowych projekcji fantazji
w naszym nowym stuleciu

About pocieszam się i widzę
że świat od wewnątrz oglądany
jest lżejszy, klarowniejszy i bardziej czysty
od każdej lzy w oku
mojej miłości dziś i jutro
i nie muszę paść na ziemię
ale też nie wzlecę na wysokości

About jest właśnie, Grzegorzu,
tą naszą nową *avanturą otwarcia*
duży na wszystkie utrapienia ciemności
które ponownie przenika teraz może
również nasz Miloš Crnjanski

i radośnie przerywa głódówkę
 by swobodnie wyruszyć ku gwiazdom
 w tym samym Belgradzie
 w którego jesteśmy dziś Lamencie
 Bez względu na to
 jak biedni i marni jesteśmy
 dostrzeżeni zostaliśmy przez oko Boże
 Rozjaśnił się nasz wszechświat
 i każde słowo jest plastrem kojącym
 znakiem że ład jest w naszej perspektywie!

*Belgrad,
 Stowarzyszenie Pisarzy Serbskich
 21. IX. 2015*

Miro Petrović *

Szkoła poezji stosowanej

(Wydanie polskie)

Jeden wiersz trochę mi się zepsuł,
 Więc wzywam Łatuszyńskiego, żeby naprawił.

– Kto ci to pisał, Petroviciu?
 Jakby ni dla siebie, ni dla kogoś,
 Trudno to naprawić, ale spróbuję,
 Za granicą są teraz nowe materiały,
 Dość drogie, niestety, jeśli się decydujesz, powiedz,
 Zamówię ekspresem,
 Za dwa, trzy dni
 Będzie gotowe.

[Patrzę na...

* Miro Petrović (1954), bośniacko-hercegowiński poeta chorwacki. Redaktor naczelny czasopisma literackiego „Obserwacje” („Motrišta”, Mostar, BiH). Jego wiersze są w podręcznikach szkolnych oraz w antologii „Wybrane dziedzictwo: 100 lat – 100 wierszy chorwackiej poezji 20 wieku” (Zagrzeb 2001).

Patrzę na Łatuszyńskiego osłupiały
Myślę – rżnie głupa, czy co?
On pisał ten wiersz, a teraz pyta:
Kto ci to pisał?

Patrzę na niego, patrzę,
I mówię prosto w oczy:
– Łatuszyński, mistrzu, ty go pisałeś,
Nie mogę uwierzyć, że nie pamiętasz.

Wiem, że ja pisałem, mówi Łatuszyński.
To widać, wiersz jest doskonały.
Tylko atrament trochę wypłowiał,
Ząb czasu go naruszył, więc nieco zbladł,
Ale wiersz jest świetny, mówię ci, świetny,
Nic tu nie trzeba naprawiać!

Przetłumaczył Grzegorz Łatuszyński

Marina Trumić

w przekładzie

Danuty Cirlić-Straszyńskiej



Marina Trumić

Dlaczego Warszawa jest moim miastem

Chyba dlatego że...
 Wszystko jest jak być powinno.
 W Warszawie coraz częściej bywam
 w szpitalu,
 na cmentarzu
 a ta cicha przestrzeń zgłodniałych dzieci, nienasycenia
 jest może szczęściem
 jedynym szczęściem
 o którym śniłam od wieków
 w swojej chropawej bezsenności.
 W tym mieście coraz więcej jest twoich
 chorych i starych,
 bezsilnych i zmarłych...
 A żywych nigdy ci nie brakowało.
 To nic nadzwyczajnego:
 żywi są wszędzie.
 I zmarli są wszędzie.
 Tak, ale nie twoi zmarli.

[Twoi żywi...

Twoi żywi są niespokojni,
nieznośni,
niestali
wciąż rozsypują się tak jak
wiatr
i wojny
ich roznoszą na wszystkie strony, do różnych miast.

Unosząc się nad jeziorem

Unosząc się nad jeziorem cisza mówiła
zapomnianym językiem
dzieciństwa
ludzie nigdy nie
zrozumieją

tego o czym z całego serca usiłujemy
zapomnieć

Strzępy dobrych zamiarów
powiewały na drzewach
Niedaleko stąd rozpościerała się
tajemnicza Litwa

A rybitwy

skulone na molu
zapadały w sen.

Wigry, październik 1995

Poemat

Wygnanie to wielki poemat naszego życia.
Wprzęgnięci w przyziemne sprawy
zapominamy, że dla nas wszystkich wygnanie
to właściwie jedyny stan naturalny.
Przeklinać je znaczy nie odczuwać,
nie rozumieć uroku przemijania.

Warszawa, 1997

Dla pani Z.

Tu kiedyś mieszkała
nade wszystko skromna pani Z.
z powieści Kazimierza Brandysa
Było to
może w Warszawie może w Sarajewie
obojętne
Dobrze pamiętam jej podpuchniętą twarz
zawsze czyjeś pracownicy
w wolnym czasie
nazbyt zajętej troską o
zdrowie swego wątłego ciała
Na palcach przechodzę obok
jej drzwi
na których widzę czyjeś
obce nazwisko
Nie ma już Brandysa, niewiarygodnej
pani Z.
ani w Warszawie ani w Sarajewie
Niezgrabnie opisuję ją
tu
i teraz
bo wspomnienie jest bardziej wiarygodne
od rzeczywistości.

Przełożyła Danuta Cirlić-Straszyńska

Wiersze pochodzą z książki Mariny Trumić (1939-2011) *Cipele za Mona Lizę*, Sarajewo, 2009, wyd. polskie *Pantofle dla Mona Lizy* w przekładzie Danuty Cirlić-Straszyńskiej, wyd. Fundacja Pogranicze i Ośrodek „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów”.

Z przekładów
Katarzyny Boruń-Jagodzińskiej

Patrick Galvin

Kapitan

(Fragment zbeletryzowanej autobiografii „Song for the Poor Boy”, 1990)

W każdą niedzielę po mszy sąsiedzi zbierali się w naszym mieszkaniu żeby śpiewać i snuć opowieści. Mój ojciec grał, a czasami recytował z głowy poezje, które sam wymyślał. Ojciec nigdy nie przyznawał się, że sam je wymyśla. Mówił, że to dzieła wielkich ludzi zmarłych dawno temu, niestety dziś już zapomniane. Moja matka twierdziła, że to największy łgarz w Corku, i tak było. Ale był także poetą. A poeta to człowiek, który mówi łgarstwa, tyle, że w krótkich rządkach i ze stylem. Mój ojciec miał styl.

Paddy Tom Kilroy też miał styl. Mieszkał koło Bulwaru Frencha i wszyscy nazywali go Kapitanem, bo nosił marynarską czapkę a nigdy nie był na morzu. Był też właścicielem małej łodzi rybackiej. Zapisał mu ją jego ojciec. Przycumowana była koło Mostu Południowej Bramy, ale noga Paddego nigdy na niej nie postąpiła. Mówił, że pogoda jest kiepska.

Pogoda zaczęła się psuć piętnaście lat temu, kiedy umarł ojciec Paddego i zostawił mu łódź. Ciągłe była zła i nic nie wskazywało na to, żeby miała się poprawić.

Paddy wychylał się przez barierę Mostu Południowej Bramy i gapił się na łódź. Wręgi gnily. Na pokładzie gnieździły się mewy, na całym kadłubie rozpychały się pąkle.

Paddy spoglądał w niebo. Żeby tylko się wypogodziło! Ale on dobrze wiedział, że się nie wypogodzi. Czytał dziś rano w gazecie, że nad Corkiem zanoszą się na burzę. Zapiął płaszcz. Ta pogoda go wykańczała. Czuł ją w kościach.

Pewnej niedzieli Paddy przyszedł do naszego mieszkania na Margaret Street i powiedział, że przemienił się w mewę. Nie wyglądał jak mewa, stale nosił tę swoją marynarską czapkę, ale mój ojciec zaprosił go do środka i zapytał czy był u lekarza? Paddy potrząsnął głową. To nie miało sensu. Doktor nie znalazł się na mewach, a poza tym, Paddy był całkiem zadowolony ze swojego stanu. W końcu zawsze chciał być mewą, ale łódź mu w tym zawadzała.

Ojciec uważał, że Paddy zwariował i bredzi, ale za to matka bardziej wczuła się w jego położenie. Poczęstowała go rybą. Paddy zjadł rybę i oznajmił, że jeszcze nigdy w życiu nie kosztował takiego delikatesu. Wychodząc dziękował matce i powiedział, że będzie o niej pamiętał w testamentie. Mojego ojca zatkało. Nie znosił ryb i był przekonany, że nim minie tydzień Paddy znajdzie się w domu wariatów.

Kilka dni później Paddy wrócił do domu. Moja matka zastała go jak siedział na schodach a w oczach miał łzy. Powiedział, że przyszła po niego policja, a kiedy matka zapytała jaką to zbrodnię popełnił odparł, że nie popełnił żadnej zbrodni. Wszystko, co zrobił to tyle, że w Kaplicy podczas mszy fruwał tam i z powrotem i skrzeczał „Chcę ryb!”.

Parafianie byli przerażeni, a ksiądz proboszcz dostał ataku serca – ale kto był temu winny? Mewa to zupełnie nieszkodliwy ptak i wszystko co parafianie powinni byli zrobić to powiedzieć „Wybacz, Paddy, ale ryby nam się skończyły”, żeby Paddy mógł się uspokoić i pójść sobie gdzie indziej.

Kiedy przyjechała policja, Paddego odwieźli do aresztu w Bridewell, gdzie spędził tydzień trzepocząc skrzydłami i krzycząc, że według Prawa Międzynarodowego uwięzienie mewy jest bezprawne.

Strażnik w Bridewell nie miał pojęcia o Prawie Międzynarodowym, ale upierał się, że zgodnie z Prawem Irlandzkim policja może aresztować każdego za każdą rzecz – nawet jeśli byłby mewą.

Paddy zwrócił się o zwolnienie za kaucją, więc moja matka zastawiła w lombardzie najlepszy garnitur ojca, żeby wytrzasnąć pieniądze na wypuszczenie Paddego.

Mój ojciec był człowiekiem tolerancyjnym, ale kiedy trzeba było zastawić jego najlepszy garnitur po to, żeby wypuścić z więzienia mewę, tego

już było za wiele. Nie miał nic przeciwko mewom – pod warunkiem że ich lajno spadło na kogoś innego – ale właśnie ta jedyna mewa działała mu na nerwy. Chciał mieć garnitur z powrotem – i powiedział to bez żadnych upiększeń.

Matka się śmiała. Wiedziała, że Paddy był geniuszem i skoro czuł, że jest mewą, no to właśnie nią był. Przecież mógł być czymś o wiele gorszym – jak choćby policjantem albo członkiem Błękitnych Koszul*. Ojciec wcale się z tym nie zgadzał i już zaczynał martwić się o matkę. Lada chwila jej też mogły wyrosnąć skrzydła.

Ale nie wyrosły. Owinęła ramiona swoim czarnym szalem i nazajutrz rano poszła do gmachu sądu żeby wysłuchać jak Paddego sądzą za zakłócanie spokoju. Paddy nie przyznawał się do winy, a gdy sędzia zapytał go o imię i nazwisko odparł:

– Mewy nie mają imion ani nazwisk. Nazywają się po prostu: Mewy.

Sędzia pokiwał głową. Rozumiał doskonale. Paddy był poetą. Oddalił skargę i Paddy wyfrunął z sądu jako wolny ptaszek.

Zniknął na całe miesiące. Moja matka szukała go tam, gdzie zwykle się obracał, ale nie było po nim śladu. Paddy wsiąkł.

Aż tu pewnego dnia, kiedy siedziała w pubie na Bulwarze Sullivana nad swoją zwykłą butelką „stouta” otworzyły się drzwi i wszedł Paddy. Zaproponowała, że postawi mu coś do picia. Paddy przyjął poczęstunek i usiadł koło niej w kącie.

– Wyjeżdżałeś? – zapytała.

– Tak – oświadczył Paddy. – Zauważyła pani we mnie jakąś zmianę?

Matka nie była pewna. Paddy pokiwał głową. Już nie był mewą.

– To smutny dzień dla Corku, Paddy.

– Dla mnie też, pszepani. Ale to było wbrew przeznaczeniu.

Dopił swojego drinka i obrócił się ku wyjściu.

– Aaa, przy okazji – powiedział. – Zapisalem pani lódź. Może pani syn zrobi z niej jakiś użytek.

– Na pewno zrobi – powiedziała moja matka. – Ale ty jeszcze długie lata będziesz z nami, Paddy.

Paddy wzruszył ramionami.

– Już pójdę – powiedział. – Dzięki za drinka.

* Błękitne Koszule – przed II wojną światową irlandzki związek nacjonalistyczny.

– Daleko się wybierasz?

– Chcę się przespacerować po wodzie – odparł Paddy. – Bóg wie kiedy wrócę.

Drzwi się za nim zamknęły, a w tydzień później znaleziono ciało Paddego, unoszące się na wodzie blisko Zamku Blackrock. Moja matka płakała, a mewy odprowadzały Paddego do domu.

*Z języka angielskiego przełożyła Katarzyna Boruń-Jagodzińska
(za zgodą rodziny Autora)*

Patrick Galvin (Cork 1927 – Cork 2011) irlandzki prozaik, dramatopisarz, poeta, śpiewak folkowy, zbieracz i autor ballad. Autor trylogii wspomnieniowej „Song for a Poor Boy”, „Song For a Raggy Boy” i „Song for a Flyboy”.

W swoim urozmaiconym życiu był w poprawczaku, co opisał w książce „Song for the Raggy Boy” (powieść została sfilmowana, z uwypukleniem wątku molestowania chłopców przez zakonnego wychowawcę), w czasie wojny był lotnikiem w RAF-ie, wędrował po Europie jako śpiewak, jakiś czas mieszkał w kibucu. Razem z drugą żoną, Mary Johnson – pisarką i nauczycielką, był organizatorem i uczestnikiem prestiżowych międzynarodowych festiwali i konkursów literackich.

Jean Paul Mestas
w przekładzie
Alicji Patey-Grabowskiej

Refus

Il n'a guère envie d'évoquer
la débâcle des mots
le deuil
des biches qui dormaient
dans les bras d'un poème

le profil bas des femmes
enveloppées de neige
ou brûlées vives
entre des parenthèses noires

l'impitoyable litanie
des semeurs d'anathèmes
et des confessions mesongères

les tremblements inquiets
du feuillage de la mémoire

la pitié aussi prise au piège.

Odmowa

Po co przywoływać
pierzchające słowa
rozpacz
łani śpiących
w objęciach wiersza.

Dyskretnie kobiety
otulone śniegiem
lub spalone żywcem
między czarnymi nawiasami.

Bezlitosna litania
siewców klątw
i kłamliwe zwierzenia.

Niespokojne drżenia
listowia pamięci.

Litość także chwyтана w pułapkę.

Jean Paul Mestas urodził się 15 XI 1925 r. w Paryżu. Dzieciństwo i młodość spędził w Afryce. Debiutował w 1949 r. w przeglądzie literackim *Janus*. Autor kilkudziesięciu książek poetyckich, felietonów, przekładów. Wydawca (wspólnie z Christine Mestas) i redaktor zeszytów poetyckich *Jalons*, w których publikowali twórcy z różnych kontynentów. Prezentowane wiersze pochodzą z tomiku *Longtemps après (Długo potem)* – (Warszawa, Grapio, 2004). *A.P.G.*

Ombre et lumière

Or ce n'était pas vrai
nous n'étions ça
ni ça.

Nous portions l'ombre
un peu
comme un remords
plutôt
pour y redevenir
ce que nous voulions être.

Le crépuscule
était notre alibi
mais trop souvent
sur la réserve.

Cień i światło

Więc to nie była prawda,
nie byliśmy tym
ani tym.

Nosiliśmy cień
trochę
jak wyrzut sumienia
raczej
by przeobrazić się w to,
czym chcieliśmy być.

Zmierzch
był naszym alibi
ale zbyt często
zastrzeżonym.

Longtemps après

J'ai tout relu:
les manuscrits,
les apocryphes
et quelques lettres...

Il en est sorti des oiseaux
qui ont semblé venir
de plusieurs conches á musique,

un chant du fond des âges.

Długo potem

Przeczytałem ponownie wszystko:
manuskrypty
apokryfy
i kilka listów...

Wyleciały z nich ptaki
przybyłe jak gdyby
z wnętrza konch muzycznych.

Śpiew z głębi wieków.

Agnieszka Syska
Parafrazy przekładowe wierszy
Momčila Nastasijevicia

Z SAMOTNI

2

W mateczniku moim
przyczajone dachy ciszy
oblapliwe wody
dym po ziemi się kradnie

SMUTEK W KAMIENIU

6

Wolność więźniowi ucieknę daleko
wszystkie głębie tu

I błogosławieństwo po grób
kolysce przekleństwo jakieś
niewyrównany dług

RANO

5

I spójrz
w modry dzień
proszy snem i prószy

kolysze piersi
niekochana dziewczyna
fiolek skromny

ŚWIĄTYNIA

3

Tajemnica tajemnicy
dalszej jakiejś zmiany
otworzy widzialne

I zaniewidzi oko
gdy przejrzy dusza
przejrzysta w twardej
przestrzelonej ścianie

SMUTEK W KAMIENIU

2

I pójde i rodzony los
i cała głębołość moich korzeni

I krzyknę
a w serce jak nóż
rodzony wbije się krzyk

MOWA

5

My w ciszę
ramię w ramię
w różowość lata
co wylania się jak owoc
i dojrzałe łąki przepatruje

SMUTEK W KAMIENIU

5

I siekiera kiedy zła
przyłoży się do dębu

[I do jagnięcia...

I do jagnięcia wilk do kości mleczny ząb
nieme wszystko wszystkiemu smutkiem
wierny wytrwa przyjaciel

TĘSKNICA

1

Zaświeciły dni
dziewictwem obumarły rośliny
cichcem miło

Ach

Serce żal ogarnął
za tym co się ach za tym
co było a się skończyło

Ach

SMUTEK W KAMIENIU

4

I niemo i smutno z trawy
wyjdzie przyjaciel

I smutno mi zaćwierka ptaszek
A zazieleni gaj

SŁOWA Z SAMOTNI

1

Nierówności wyrównam
stuknie o równą ziemię noga

Dni swoje zamroczę
co zobaczę Bóg mi błysnie

SŁOWA Z SAMOTNI

3

Bezdomny
ciepły daje kąt

Bezdrożny
dalemi wiodę na drogę

SMUTEK W KAMIENIU

7

Wszystko zawezwie
zostaje

Korzeniem w kamieniu
smutku zamykam krąg

MODLITWA

1

Niech wpadnę w błękit Twój
Panie ja pragnę

I radość moja Tobie Darczyńco
wstyd że kadzi ołtarz

Agnieszka Syska

Momčilo Nastasijević (23 IX 1894 – 13 II 1938), poeta serbski, członek Stowarzyszenia Pisarzy w Belgradzie, Stowarzyszenia Pisarzy Serbskich, serbskiego PEN Clubu. Był nauczycielem w belgradzkim gimnazjum. Publikował poezję, dramaty, eseje, a przede wszystkim liczne cykle poetyckie. Mało znany za życia, po śmierci został uznany za jednego z najważniejszych poetów serbskich okresu międzywojennego.



Pamiętamy
o Domu Pracy
Twórczej
im. B. Prusa
w Oborach,
Konstancin-
Jeziorna,
ul. Literatów 2

